Z przyczyn od nas niezależnych numer niniejszy wychodzi z tygodniowym opóźnieniem — Redakcja

Cena 7 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 14 lipca 1946 r. | Nr 26 (54)

JAN ALEKSANDER KRÓL

Na śladach agraryzmu (I)

NA ŚLADACH AGRARYZMU

W drugim dziesiątku lat międzywojennych ruch młodo-wiejski zajmuje w ogólnym ruchu ludowym pozycję dość szczególną. Ponad żywiołowym przebiegiem działań politycznych buduje jakgdyby „teorię", która dotychczasowy chaos odczuć i żądań chłopskich miała zastąpić spoistym i uzasadnionym systemem „myśli społecznej".

Trzy czynniki wyznaczają najogólniej treść ideologiczną i zakres tego planowania. Pierwszy to wstępna ocena współczesnej sytuacji społeczno-gospodarczej Europy i Polski: Ruch młodo-wiejski nazywa ją „okresem walącego się kapitalizmu".

Drugi rozstrzyga o zakresie planowania. Ruch młodo-wiejski rozumuje słusznie, że o sprawie chłopskiej nie można mówić w oderwaniu, wyznaczy ją „ściśle sprecyzowana konstrukcja całego przyszłego ustroju".

Trzeci wreszcie czynnik daje upust ambicji klasowej. W walce z kapitalizmem o przyszły ustrój, ustrój ten 'winien być dziełem chłopskim, nie w wykonaniu tylko, ale w samej koncepcji. Czas nagli. Ruch młodo-wiejski śpieszy się zatem aby „wytworzyć swój odrębny kierunek, swoją filozofię, swój nawet światopogląd".

W tym pośpiechu zapożycza się u Czechów na zaps. Jeszcze bowie nie posiadając gotowego systemu „zgodzono się już niejako podświadomie, że ma on być ochrzszczony mianem agraryzmu". „Agraryzm" miał być terminem tej samej skali co „faszyzm", „komunizm" czy „kapitalizm". Miał dawać obraz ustroju, obejmującego cały naród, wszystkie warstwy i zawody.

Gorączka budowania za wszelką cenę „własnego odrębnego kierunku" nie stwarzała, niestety, najlepszej atmosfery do oparcia go „na zasadach naukowych".

Wręcz przeciwnie, z miejsca zrywała z tymi zasadami. Chłopskość bowiem ukuta na poczekaniu w program kazała się oglądać na narody zawierające tej chłopskości ilościowo i jakościowo jak najwięcej. Z góry więc można było przewidzieć, że będą to kraje najbardziej zapóźnione cywilizacyjnie.

W roku 1932 Związek Młodzieży Wiejskiej wziął żywy udział na Kongresie Słowiańskim (z wyłączeniem Z.S.R.R.). Z okazji Kongresu pisano w „Wiciach".

„Wybitną cechą narodów słowiańskich jest miłość i przywiązanie do ziemi; *głównym* zatrudnieniem i największą wartością w *życiu* gospodarczym państw słowiańskich jest *rolnictwo*. Umiłowanie wolności, swobody, pokoju i pracy — oto cnoty Słowian".

Nie dopowiedziano jednak polskiej młodzieży wiejskiej, że właśnie z wymienionych powodów te Bułgarie i Jugosławie należały do najbardziej zacofanych gospodarczo państw w Europie, że przywiązanie do ziemi, które nie zmniejsza odsetka ludności rolniczej, pogrąża kraj w nędzę i ruinę ekonomiczną, odcina od cywilizacji zdrowia i wiedzy. A szlachetne ambicje wolności i pokoju zagrożone są bardziej niż gdziekolwiek indziej. Ideał zaś pracy w rzeczywistości urąga elementarnym normom ludzkiego życia.

Wypożyczenie od Czechosłowacji „agraryzmu" było jeszcze jednym ogniwem w łańcuchu nieprzemyślanych projektów chłopskiego ustroju Polski

Kiedy bowiem agraryzm czeski ogranicza się tylko do kwestii rolnej, nasi zapaleńcy rzutować chcieli go na ustrój całego państwa.

„Czerpie on — jak pisał Miłkowski — swe prawa i zasady z ziemi, ze współżycia człowieka z przyrodą, z praw rządzących produkcją drobno-rolną, opiera się całkowicie na człowieku i z niego chce uczynić podmiot tworzący nowe życie". Przyroda i drobny rolnik, ich wzajemne współżycie, oto podstawa nowego ustroju. W tej koncepcji znać szlachetną inspirację romantyzmu politycznego, który „natchnieniem" zgaduje czego ludowi potrzeba i dlatego chybia w walce z trzeźwymi konkurentami.

*

„Agraryzm" wywodzi się nie z Czech, a ściślej, ze Słowacji. Rodził się pięćdziesiąt lat temu jako koncepcja raczej narodowa, niż społeczna. Położenie bowiem Słowaków było następujące. Naród ten zawierał tylko warstwę chłopską i pierwsze szeregi nielicznej inteligencji. Na latyfundiach siedziała węgierska szlachta, przemysł, kapitał i administracja spoczywały w ręku obcych pod panowaniem Austro-Węgier. Wobec słabo rozwiniętego przemysłu i małej liczby robotników walkę o wolność narodu z konieczności oparł Milan Hodża wyłącznie o warstwę chłopską.

Hasło „naszym fundamentem lud" w tej sytuacji odpowiadało najzupełniej prawdzie. Ponieważ wyzysk klas posiadających: latufundystów, kapitalistów i biurokracji był wyzyskiem nie tylko narodu Słowackiego, ale w jego osobie ludu, dlatego ruch słowacki miał znamiona również i walki społecznej, łącząc wolność narodu z demokratyzacją ustroju. W tych procesach zarysowały się jednak poważne na przyszłość niebezpieczeńtswa. Oto umacniana w ludzie narodowość jako równoznaczna z rolniczością, oto umacniana demokracja jako jednoznaczna z równością samych chłopów zatrzymywały ten naród w dziwacznej strukturze społecznej pozbawionej klas, rozstrzygających o życiu nowoczesnych narodów — robotniczej, mieszczańskiej, inteligenckiej.

Słowacja jest przykładem narodu, nad którym ciąży fatum jego złych naturalnych i historycznych warunków. Jest narodem jednoklasowym o tradycjach wyłącznie ludowych. Zajmuje obszar górzysty — rolniczo ubogi, dla rozwoju przemysłu z braku surowców również bez perspektyw — wreszcie jest narodem zbyt małym liczebnie aby mieć dostateczne bodźce i powody do społecznego i zawodowego zróżnicowania.

Trudno mówić w Polsce o istnieniu analogicznych czynników historycznych, społecznych i geograficznych, a jednak próby przeszczepiania słowackiego agraryzmu milcząco sugerowały te podobieństwa i właśnie tylko dzięki temu w dobrej wierze przyjmowanemu założeniu liczyć mogły na powodzenie.

Charakterystyczne były dalsze losy Słowacji. Na tle wymienionych warunków, hamujących jej narodowy rozwój „agraryzm" stał się koncepcją defenzywną, broniącą prawa Słowacji do życia w strukturze cywilizacyjnej i społecznej do jakiej te warunki ją ograniczają.

Tego właśnie obronnego znaczenia nabrały hasła Hodży w unii z Czechami: „Nacjonalizm, który nie uznaje ludu za podstawę narodu jest nonsensem" ... „bez ludu nie ma narodu". Czechosłowację wzbogacili Słowacy warstwą rolników. I głosząc, że naród, to lud, że lud to podstawa narodu, umacniali w ten sposób swoje prawa narodowe, które w unii z Czechami przesunęły się w kategorie praw społecznych klasy rolniczej. Zysk Słowaków był oczywisty, bo wszystkie funkcje nowoczesnego państwa, których im brakowało znaleźli gotowe u Czechów. Ale z tego też powodu agraryzm nie mógł być czechosłowackim systemem ustrojowym, skoro państwo to należy do przemysłowych a nie rolniczych (35% ludności rolniczej wraz ze Słowakami) i skoro w tych 65% nie rolniczej ludności 60% stanowią zatrudnieni w górnictwie i przemyśle, podczas kiedy u nas na 35% ludności nie rolniczej tylko połowa była zatrudniona w górnictwie i przemyśle.

W okresie inwazji niemieckiej Słowacja uzyskuje „niepodległość" pod protektoratem Rzeszy. Niewątpliwie „na zgodę" z Niemcami wpłynął lęk przed utratą biologicznych sił narodu liczebnie bardzo małego. Ale był też i inny powód. Imperializm niemiecki zmierzał do przekształcenia podbitych narodów w jednolite klasy pracownicze ze względu na ich przyszłe funkcje w ramach Pan-Europy. Słowacja — naród była już taką gotową klasą. To co dla innych normalnych narodów zapowiadało ich zniszczenie, dla tego nienormalnego narodu było nowym zyskiem. Słowacja nadal mogła pozostać ludem rolniczym. W innych punktach Europy rozwijałby się przemysł a o pomyślne powiązanie całości dbałyby „miłujące ludzkość Niemcy".

*

Przykłady Czechosłowacji i Szwajcarii na które się u nas powoływano wskazują, że ideologia agraryzmu reprezentowana jest przez mniejszości (w Szwajcarii 22% rolników, w Czechosłowacji 35%) a kierunek rozwoju procesów produkcyjnych nie daje żadnych nadziei na rozrost klas rolniczych ,przeciwnie, zapowiada dalsze kurczenie ilościowe.

Wobec nacisku nowych systemów kulturalnych agraryzm usiłuje tylko wyjednać ustępstwa przedłużające odrębność cywilizacyjną klasy rolniczej. Broni stanu

STANISŁAW PIĘTAK

Wyznanie

I

Moje wzruszenie nie jest pozą, nie jest grą.
W wielu epokach chciałem żyć. Byt nieśmiertelny
śnił mi się i piękno chylące ludzką skroń.
Czas pragnąłem zatrzymać, byłem łatwowierny,
za marzenia dzisiaj smutkiem okrutnym płacę.
Nikogo przy mnie prócz słów – słowiki tułacze...

II

Jako nurek zapolować mogłem na dnie mórz
na kwiaty i ptaki srebrne, a żonę swoją
umieścić w wietrze z księżycem w włosach, z tęczą u nóg.
Płaczą jaskółki tam, promienie w rosie stoją.
I koń mieni się w anioła, paw na podbiale
kopczyk mrówek, linię pszczół w niebo wiedzie w chwale...

III

To nie takie proste — i ja znam cierpienie, głód.
Dzieci spuchłe z nędzy widziałem. Ot, życie moje
dawne płynęło w chorobie, w biedzie. Ach, u wód
klękałem, żebrząc o kęs chleba lilii zwoje...
Potrzeba radości nam, spokoju snów, piękna.
Pozwólcie grać. Nie dajcie, by pieśń z bólu pękła.

Żniwa

– Zakładaj na żyto chochoły, burza
idzie!... — wołał ojciec i w mgle się nurzał.
Błyskawice konie pognały pod las,
a tam nagle dąb w śmiechu czerwonym trzasł.

Ukryłem, by nie zmoknąć, z siebie szaty,
a wtedy na ściernlu przyjęły baty
błysków mię i ze snopem rzuciły w dół.
Kurz srebrny bił z pędzących po niebie kół.

– Aleś chłop – wicher kropnął cię o ziemię –
śmiał się ojciec, chmury czarnej wlókł brzemię.
Z ciała mego, z włosów kielich pary rósł.
W wspomnienia lusterko pochylał się mózg.

– Trzydzieści dwa lata mam, a wciąż żyję
u ojców. Ich serce moje, niczyje...
Czy to nie największa dla mnie z ludzkich łask?
To rzekłem — lecz, o, w lesie buchnął koniem blask.

– Napiłbym się chłodnej, co idzie, tęczy.
Tato, nasz Gniady u jej brzegu klęczy...
Taki dziecinny jeszcze poniósł się głos
we mnie — i usnąłem oparty o kłos...

posiadania, przeszłości, tradycji, ale dlatego daleko mu do ambicji przebudowania ustroju całego państwa. Patos jego haseł i mglista wzruszeniowa argumentacja osiągają ten stopień przesady, który w Czechach czy Szwajcarii stanowią jedyną apelację do narodu aby demokracja raczyła uszanować zachowawczą ideologię, aby cackała się z nią i tolerowała jak najdłużej.

Jak dalece agraryzm świadomy jest swych ograniczonych możliwości niech świadczy wypowiedź prof. Laura, prezesa szwajcarskiego Związku Chłopów: „Chcemy utrzymać tego ducha w rolnictwie, lecz chłop upomina się o swe prawo do życia. Nie chce on głodować i zwolna marnieć z tego powodu, że jego odbiorcy odmawiają mu cen przy których mógłby zarobić zaledwie na płacę parobka, niższą niż praca niewykwalifikowanego robotnika fabrycznego, który mieszka obok niego na wsi".

„Agraryzm" staje się idelogią warstwy chłopskiej w tej fazie kapitalizmu, kiedy jej niższość w zakresie produkcji rolniczej pogłębił olbrzymi ubytek ludności rolniczej. Dla takiej mniejszości nawet parlament traci wartość politycznej trybuny. Nawet prawa liberalnej demokracji przestają służyć, a przeciwnie obracają się na szkodę.

Na miejsce dawnej walki o mandaty przychodzi okres jeszcze mniej skutecznej, umiarkowanej, ostrożnej perswazji. Owe „nie żywimy sympatii bez zastrzeżeń", „nie pochwalamy w całej rozciągłości".

Dlatego w Szwajcarii Związek chłopów w oparciu o biologiczną teorię kultury, straszy niebezpieczeństwem starzenia się narodów, które „nie zachowają dostatecznie licznego stanu włościańskiego". Prof. Laur nie neguje wyższych form kultury, ale chce przekonač naród, że właśnie dla tych wyższych form potrzebny jest rezerwat, w którym panuje pierwotność. Jego zdaniem tylko ta pierwotność (stanu włościańskiego) „dostarcza modych sił przemysłowi, rzemiosłu, handlowi, nauce i sztuce. Na wsi nagromadza się energia potencjalna, by później w mieście dojść do pełnego rozwoju".

Inaczej mówiąc, gdyby nawet chłopów nie było należałoby ich sztucznie rozmnożyć, obdarzając „młodością biologiczną" tzn. celowo wprowadzić w porządek natury jak najbardziej oddalony od bogactwa i komplikacji współczesnej cywilizacji, z nich bowiem tylko mogą wyróść inżynierowie, politycy, artyści i t. d. Mapa współczesnej Europy mówi nam jednak co innego. Utalentowanymi twórcami kultury są również chłopi i z dziesiątego pokolenia. Jest to napewno lepsza legitymacja „plemiennych" wartości chłopstwa, niż ta, którą zachwala prof. Laur.

Postęp techniki zmniejsza ustawicznie ilość sił ludzkich zatrudnionych w rolnictwie. Ale kierujący tym procesem kapitalizm nie zmniejsza jednak wyzysku wobec kurczącego się świata pracy rolniczej. W tej sytuacji agraryzm szwajcarski ogranicza się do „indiańskiego" typu walki z kapitalizmem. Wiadomo, że dopokąd było „mnóstwo" indian, dopotąd hamowało to inwazję białych, a pozwalało dzikim wegetować w tradycyjnej kulturze koczowniczej. Prof. Laur walczy dziś o 30% ludności chłopskiej, zmniejszenie tego minimum grozi bowiem wg. niego „upadkiem inicjatywy, wynalazczości i tężyzny narodu". W rzeczywistości czynnej rolniczo ludności w Szwajcarii jest tylko 20%, w Stanach Zjedn. Ameryki Półn. — 22%, w Holandii, Niemczech 20%, w Anglii 6%.

Liczby te nie przemawiają jednak za prof. Laurem ale przeciw niemu. One to właśnie wyrażają inicjatywę i wynalazczość i tężyznę narodową. Nawet i na odcinku rolniczym produkcja każdego z wymienionych państw jest większa od produkcji krajów tzw. „rolniczych", ocenianych wzgardliwie jako „bałkanizujące" gospodarczo Europę.

*

Osobliwość położenia szwajcarskiej warstwy chłopskiej polega na czym innym. Tu rozwój kapitalizmu łagodziły silne tradycje chłopskie (chłopskie wyzwolenie Szwajcarii!) silne tradycje cechowe wysoko wyspecjalizowanego rzemiosła. Ten kraj otwarty na cztery strony świata bogacił się najwcześniej zagranicznym kapitałem bankowym, który, był czas, że inwestowano i w produkcję rolną, skoro w uprzemysławiającej się Europie zwiększyło się zapotrzebowanie nie tylko na górskie powietrze i krajobraz szwajcarski ale i szwajcarskie sery. Ale łagodny liberalizm acz statecznie i niezauważalnie dogonił jednak przodujące państwa Zachodu.

Ponad starożytnym systemem kantonów i warunkami geograficznymi, które chłopów skazywały w górach na pieczołowitą produkcję indywidualną, wyrastał coraz silniejszy system kapitalistyczny, przechodząc z fazy przymierza ze stanem drobnym i średnim w fazę ich niszczenia. Rolnictwo nie otrzymuje dziś — stwierdza prof. Laur—ani subwencji ani inwestycji. Dlaczego? Dlatego, że poczciwy kapitalizm szwajcarski woli podtrzymać przemysł eksportowy przez obniżkę płac i stopy życiowej własnych mas ludowych, aby zyski od kapitału z kolei inwestować zagranicą w mniej uprzemysłowionych krajach tzn. obiecujących większe oprocentowanie. Cóż na to warstwa chłopska? Wyrosła na liberaliźmie, jemu zawdzięcza okres swojej prosperity i dziś kiedy on ją z kolei rujnuje zbyt już jest „zarażona" aby skutecznie przeciwdziałać: Chciałaby zatrzymać się w tej jego fazie, która była dla niej pomyślna. A to się nie da. Napróżno wspomina czasy miłości do ziemi, pracowitości i oszczędności jako źródeł chrześcijańskiego wzbogacenia. Niestety i wówczas wartości te były tylko jednym z narzędzi kapitalizmu na dorobku. Poszedł on dalej a uszczuplona warstwa chłopska zatrzymała się na starym: na lojalności wobec rządu, na który wpływ ma nie ona, na rozumieniu demokracji wedle zasad, które kiedyś przynosiły jej korzyść. A te zasady to — prawo stanowienia wespół z innymi, wolne wybory, referendum. Tylko że teraz jej 20% są bezsilne w wyborach i kapitalizm znajduje się w fazie nie przymierza z nią, ale dyskontowania z kolei jej słabości liczebnej. Ten mały „gwóźdź" samodzielnych rolników nie wadzi mu nawet gdyby kłuł. A on nawet nie kłuje, bo choć prof. Laur ostrzega, że „liberalno-manchesterska polityka ekonomiczna oznacza upadek stanu chłopskiego", ale jego „nie żywimy sympatii" neutralizuje o wiele ostrzejsza gotowość zwalczania radykalizmu społecznego. A liberalizmowi w to graj! Warstwa chłopska staje się coraz wyraźniej ofiarą liberalizmu, bo zwalczając wszystkie kierunki sama nie przestaje być negatywnie liberalna.

Że przeciw wszystkim — to właśnie ubezpiecza od niej kapitalizm.

Łatwo teraz odpowiedzieć, czyje jest zwycięstwo, kiedy warstwa chłopska głosi „agraryzm".

(D. c. n.)

Jan Aleksander Król

MACIEJ CZUŁA

Proza autentyczna

Pokój i wojna

(Fragment z pamiętnika)

Kto z nas starszych nie pomni z czasów zaborczych służby wojskowej w państwie, do którego czuło się niepohamowaną niechęć, jeśli już nie nienawiść? Nie wiem, jak ona wyglądała w Rosji lub w Niemczech, ale o służbie wojskowej w Austrii, gdzie kazano się nazywać rekrutowi „cesarskim dzieckiem" można było powiedzieć z poetą Dantem: „którzy tu wchodzicie, porzućcie wszelką nadzieję".

Zaledwie bowiem zawarła się za nim żelazna brama, która go miała przez parę lat oddzielać od „cywilów", od razu wpadał w żelazne kleszcze ostrej, barbarzyńskiej nieraz karności i poddać się musiał rozmaitym przepisom cudacznym, najczęściej naiwnym, a dla człowieka mającego wrodzone poczucie osobistej człowieczej godności, niesłychanie przykrym i upakarzającym. Musiał się wyzbyć własnego sposobu myślenia i własnej woli, a stać się bezdusznym, na żadne objawy zewnętrzne nieczułym manekinem.

Na kapryśny rozkaz prostaka kaprala czy „zugfürera" musiał się bawić, maszerować, upadlać się, jeść i spać, niemal nieledwie potrzeby fizyczne spełniać.

Austria słynęła z nie najmądrzejszych oficerów, a zatem wyszkolenie podoficerów, a w dalszej konsekwencji i żołnierzy nie mogło być mądre. Do szkoły podoficerskiej nie brano najzdolniejszych i najlepszych, ale najsprytniejsyzch, a zazwyczaj złośliwszych kandydatów, bo chodziło nie o dobre wyćwiczenie, tylko o ostre trzymanie w karbach żołnierzy.

Stąd też nieraz najbardziej wyrafinowany zboczeniec - sadysta nie potrafiłby bliźniemu tyle cierpień moralnych i fizycznych zadać, ile ich zadać potrafił ozdoba i wybraniec Austriackiej Armii, Komendant izby, w w której spoczywali umęczeni żołnierze, kapral Pluskwa czy Moczymorda! Nie robił tego z potrzeby czy rozkazu, ale z rozkoszowania się cierpieniami wymęczonych do ostatnich granic żołnierzy.

Czasem winne były temu nieludzkiemu traktowaniu i same jego ofiary — ponieważ ich mazgajowatość graniczyła czasem z idiotyzmem.

Ten sam bowiem żołnierz, który w swoim domu i na swoich śmieciach był może względnie rozsądny, obrotny i przebiegły, w kasarni i na placu ćwiczeń okazywał się często jakimś ślamazarnym niedołęgą, czy nieporadnym gamoniem. A potem musieli za takiego kilkakrotnie ćwiczyć wszyscy, bo w wojsku przecież panowała zasada „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" — jeden starożytny Spartanin pilnował podobno 70 helotów, czyli niewolników i tyle mniej więcej liczyła na stopie pokojowej kompania wojska. Rekrut był uważany za dojną krowę, którą należało o każdej porze dnia i nocy wydoić t. zn. wyciągnąć z niego wszystkie pieniądze, jakie matka kochanemu synalkowi na drogę dała. Przełożeni robili to precyzyjnie i dokładnie, a gdy się ofiara opierała, nie spoczęła, dopokąd nie wytarła wszystkich ustępów, posadzek, podłóg i sprzętów w całej kasarni i nie pozgarniała wszystkich śmieci, błota czy kurzu na dziedzińcu. Żeby pamiętała, co znaczy życzenie kaprala cy feldfebla. Żeby się rekrut nie opierał wysokiemu rozkazowi!

Było sto sposobów, żeby opornego żołnierza ogłupić i załamać. — Najpospolitszy z nich, to zamęczanie pracą i ćwiczeniami, nierzadko ponad program. Jeżeli się opierał, zostawał zamknięty albo dostawał t. zw. „dekę". Ten ostatni sposób ugłaskania niedość posłusznego żołnierza polegał na tym, że gdy w nocy po trudach wypoczywał i marzył mu się zwyczajnie dom rodzinny, wynajęte przez kaprali draby zarzucali delikatnie derkę na głowę, i trzymając go za nogi i ręce bili kijami gdzie popadło. Gdy uznano, że miał dość, każdy z katów chował się pod swój koc, a gdy skatowany miał na tyle siły by zaświecić światło, nie było już przy nim nikogo. Nie mógł się zatem nikomu użalić, bo nikogo na biciu nie złapał — a inni też katów ze strachu nie wydali!

Mógł się wprawdzie pobity zapisać na skargę przed komendantem kompanii — ale na kogóż miał się skarżyć? Skądżeby mu pan kapitan uwierzył! Więc tłumił w sobie biedny żołnierz żal, rozpacz i ból, bo sprawiedliwości nie znalazł. Nieraz mu się nawet udało zemścić, ale już w cywilu!

Czasem jednak bywało, że takie znęcanie się podoficerów nad żołnierzami odbijało się głośno poza murami kasarni, docierało i do uszów oficerów i wtedy ten czy ów rozpoczynał śledztwo. Gdy się jednak żołnierz zdobył na odwagę poskarżenia się, przeniesiono go wprawdzie do innej kompanii, ale przedtem dostał jeszcze dodatkową „dekę", że długo rękami i nogami ruszyć nie mógł, gdy zaś zeznań nie złożył, ujeżdżali na nim podoficerowie dalej niby na „burej kobyle".

Ponieważ „narukowałem" w r. 1911 do wojska w Krakowie jako tzw. „zapasowy rezerwista", moja służba wojskowa powinna się skończyć za dwa miesiące, po których wysłużeniu powinno mnie się zwolnić w „domowe pielesze".

Ale gdzie można było dokładniej łamać ustawy, jak nie w Austriackiej Armii. I dlatego po dwóch miesiącach znalazłem się zamiast w domu w Opawie na Śląsku, gdzie mój „macierzysty" pułk 13 „Krakowskich dzieci" przeniesiono. Zrobiono tak wtedy ze mną jak i z wielu innymi dlatego, że obawiano się wojny z Serbią. A dla osłody otrzymaliśmy później wszyscy brązowe krzyże z napisem 1912—1913, jakbyśmy przebyli jaką kampanię wojenną.

Jeżeli służba wojskowa niedaleko miejsca rodzinnego była ciężka, ale nie beznadziejna, bom się prawie co niedzielę mógł na krótko wyrwać do domu, o tyle w Opawie, wśród Niemców i Czechów, popadłem w silną depresję duchową. Nieżyczliwość kolegów, wrogie nastawienie przełożonych, zjadliwe uśmieszki Germanów i pepiczków dokuczały mi do żywego. Ratowały mnie trochę książki, których sobie pokaźną ilość z Krakowa przywiozłem, a z których korzystali, i z tego powodu łaskawszem okiem na mnie spoglądały — i „szarże"", ale mimo to owładnęła mną niedługo tęsknota, zniechęcenie, nostalgia. Za co, i dla kogo mam marnować swoje siły, niszczyć zdrowie, wyczerpywać i tak słaby organizm? Co mnie Austria, Franc Józef I i wszystkie ludy Austrii obchodzą?

Im dłużej się służba przeciągała, tym więcej było niezadowolenia w wojsku, aż wyładowało się ono w niesamowitej tragedii: w zastrzeleniu na nocnych ćwiczeniach za Opawą nadporucznika Szromka. Zabójstwa dokonał z premedytacją kapral Pagacz o coś do Szromka rozżalony. — Tragiczny wypadek miał miejsce 19 marca 1911 roku.

Ponieważ zabójca wyrokiem Sądu wojskowego został skazany na karę śmierci przez powieszenie, posłowie polscy w Wiedniu pragnęli ratować Pagacza chcąc zmniejszyć mu karę na więzienie. Posłowie socjalistyczni wnieśli nawet interpelację w Parlamencie wiedeńskim, w której żalili się na złe obchodzenie się oficerów z żołnierzami. Rozrzucili też po Wiedniu i w kraju kartki z podobizną Pagacza.

Nic to nie pomoglo i Pagacz zawisł w dniu 27 marca, a więc w 8 dni po dokonaniu zabójstwa, na podwórzu kasarnianym na szubienicy. Wieszał go kat Long z Wiednia, gruby, o nieprzyjemnej twarzy, opasły Niemiec. Egzekucji tej musieliśmy się obowiązkowo wszyscy przypatrywać.

Po tym wstrząsającym wypadku nastąpiła wśród oficerów pewna konsternacja. Trzęsła się na nich skóra, bo nuż się świeży pojawi mściciel?

Praktycznie ofiara Pagacza nie wiele pomogła, a rezerwistów rozpuszczono do domów dopiero w r. 1913, akurat rok przed wybuchem I-szej wojny światowej. Austria robiła bowiem wszystko albo za wcześnie, albo za późno.

Miejscem całodziennych naszych ćwiczeń było w słotny dzień podwórze kasarni, a w piękny obszerne za Opawą błonia. Tam to pod okiem jowialnego staruszka pułkownika Krossera, a czasem w obecności hasającego na białym koniu generała von Kuczery odbywały się forsowne ćwiczenia z zastosowaniem wszelkich prawideł sztuki wojennej, po których żołnierze padali ze zmęczenia. Komendantem naszej 7 kompanii był kapitan Kramarz, oficer jeszcze młody, eleganckі, przystojny i zdaje się zdolny.

Stało się tak — co się często w Armii Austriackiej zdarzało — że stary pułkownik upodobał sobie młodego kapitana i co on ze swoją kompanią uczynił, było zawsze dobrze i stawiane było innym komendantom za wzór.

W rzeczywistości 7 kompania nie miała lepszych ni gorszych żołnierzy i nie ćwiczyła nadzwyczajnie, ale nikt nigdy nie odgadnął, jakiemi drogami chodziła sympatia pułkownika Krassera do kapitana Kramarza. Dużośmy na niej zyskali, bośmy wskutek niej więcej odpoczywali, niż ćwiczyli, w przeciwieństwie do żołnierzy innych kompanii, którzy znowu więcej ćwiczyli niż odpoczywali. Ale nie zawsze było tak „sielsko - anielsko“, bo czasem kapitana wezwano na „besprechung“ czyli rozmowę wojskową, a komendę nad kompanią obejmował feldfebel Wąsik, stary wyga wojskowy, a ten dał nam czasem taką „wcirę“ na błoniach, że nam języki na brodę wyłaziły z przemęczenia, a w powrotnej drodze z ćwiczeń — z powodu potu jaki z nas spływał, mieliśmy kurz w stanie mokrym w oczach, ustach i na całym widocznym ciele. Musieliśmy jednak maszerować z dobremi minami, tupać do taktu i co najważniejsze — śpiewać.

Feldfebel Wąsik lubił śpiew. Śpiew w marszu był zresztą obowiązkowy, bo podnosił rzekomo ducha i dodawał sił. Zachecali do niego oficerowie, nakazywali podoficerowie, a podejmowali chętnie żołnierze.

W Krakowie wyglądało to przedstawienie w ten sposób:

Na czele jechał kapitan na koniu, a za nim przed kompanią maszerował trębacz wydymając z płuc popularną melodię, którą podchwytywały maszerujące za nami krakowskie andrusy nucąc półgłosem:

Wojsko idzie, trąbka gra, pan kapitan
w portki s...a!
A jak nie ma papiera, palcem d... uciera!

W Opawie musieliśmy się przystosować do otoczenia — bo w niej służyły różnojęzyczne narody Austrii, więc posługiwaliśmy się w śpiewie oprócz polskich i czeskimi. lub polsko - czeskimi piosenkami, np.:

„Nemelem, nemelem, sebrala nam woda
mleju!
Sebrala nam wsechny kola, im pila
z wotrakama
Nemelem, nemelem, sebrala nam woda
mleju!“

Albo:

„Listeczku dubowy, ne wpadaj do wody,
Byłoby cię szkoda, wzala by cię woda,
Listeczku dubowy!“

W tych smutnych chwilach, w godzinach rozpaczy, żalu i tęsknoty za wolnością napisałem wiersz, który mimo słabej jego konstrukcji przytaczam jako dokument chwili.

„Miłosierny Boże, spójrz na polskie dzieci
jak im w kasarni młode lata marnią.
Kiedyż swobody gwiazda nam zaświeci,
Bo długa służba stała się męczarnią.

Zdala od kraju, przyjaciół, rodziny
smutek nas trawi tu między obcemi,
więc wyglądamy z tęsknotą godziny,
w której możemy być już między swemi.

Wiosna nadchodzi, słonko pięknie świeci,
ptaszki wracają, zielenią się drzewa,
skowronek w górze już przecudnie śpiewa,
ale nie dla nas biednych polskich dzieci.

My wciąż znękani, spracowani, smutni,
jak woły w jarzmie we czwórkach
chodzimy
i wciąż po „chofie“ egzercyrka dudni,
choć mało jemy, zwykle niedośpimy.

Noclegi mamy, jak te śledzie w beczce,
zbici, stłoczeni, śpimy na podłodze,
posłaniem barłóg, łachmany okrycie,
takie w rezerwie żołnierz wiedzie życie“.

Wierszyk wcale niewybredny zdobył sobie jednak w kasarni dość dużą popularność, a deklamowany przygodnie krążył także w odpisach, o czym wcześniej czy później musiała się dowiedzieć starszyzna. Dowiedziała się też niedługo, w rezultacie czego musiałem stanąć do raportu, przy którym dostałem tydzień „eincla“, żebym nie buntował dalej żołnierzy. „Eincel“, nie tyle ciężka, ile mocno złośliwa kara, polegała na tym, że ukarany musiał pełnić służbę cały tydzień, a gdy jego towarzysze po jej odbyciu mogli się ulatniać do knajpki, czy w objęcia kochanki, ukaranego odprowadzano do celi więziennej, gdzie w samotności przetrawiał swoją winę. Siedziałem więc i cieszyłem się, że nie dostałem dyb (szpong), bo te nie każdy wytrzymał. Być krótko przykutym łańcuchami 6 godzin prawą ręką do lewej nogi lub odwrotnie, nie było bagatelą i podobną karę bez kurczów lub omdlenia potrafił znieść tylko wyjątkowo silny osobnik.

Około połowy sierpnia 1913 roku rozpoczęły się w pułku przygotowania do wielkich cesarskich manewrów, które się miały odbyć w Czechach koło Tabora przy udziale niesympatycznego następcy tronu Arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, który zginął później z ręki serbskiego zamachowca w Sarajewie.

Odbywaliśmy teraz, dla zachowania sił, mniej ćwiczeń, za to więcej chowaliśmy się do szkoły, gdzie sympatyczny porucznik Reiss wtajemniczał nas wytrwale nie tyle w dziedzinę sztuki wojennej, ile erotycznej, opowiadając nam nieraz tak pieprzne dykteryjki, żeśmy się pokładali na siennikach ze śmiechu.

W niedzielę 24 sierpnia 1913 roku nastąpił wymarsz całego pułku w kierunku Ołomuńca. Miny nasze nie były tęgie, bo czekała nas miesięczna wędrówka i około 400 km. marszu, a przedsmak tego, co będzie dalej, odczuliśmy niedługo, gdy lunął deszcz przemaczając nas do ostatniej nitki. A gdy w dodatku przyszło nam mokrym i zziębniętym nocować w stodole, na skutek czego przyozdobiliśmy się dodatkowo w sterczącą we włosach i ubraniu słomę i sieczkę niby indianie, miny nam zrzedły nie na żarty i o mało żeśmy nie zaczęli z rozkosznych manewrów dezerterować.

Trasa marszu wyznaczona była na miasta: Meinwold, Berno, Sternberg, M. Neustadt, Müglitz, Mirow, Tribam i wiele innych, a więc przez trzy kraje, Śląsk, Morawy i Czechy. Im głębiej zapuszczaliśmy się w kraj św. Wacława, tym większe odczuwaliśmy zadowolenie, bo kraj był piękny, ludzie dobrzy, a dostać można było za tanie pieniądze czego dusza zapragnęła.

Koło Tabora było coraz ciaśniej na drodze i noclegach. Rozmaite pułki piechoty, kawalerii, artyleria, poczta polowa, tabory ocierały się o siebie i przeszkadzały sobie wzajemnie, ile mogły, bo wszystkie wioski przepełnione były wojskiem.

20 września odbyły się główne ćwiczenia i ich zakończenie. Na wzgórzach grały armaty, rechotały karabiny maszynowe, w powietrzu zaś krążyły 2 aeroplany, jedyne, jakimi się wówczas Austria mogła poszczycić, a które potem oglądaliśmy w ogonku z należytym pietyzmem. Główne zadanie: zdobycie wysokiego wzgórza — powierzono piechocie, która wywiązała się z zadania nadzwyczajnie. Koło wieczora odtrąbiono zakończenie manewrów. Niedługo zjawił sie sztab błyszczący od złota, ażeby omówić wynik, a my pokładliśmy się na trawie, by odpocząć. Podobno sprawowaliśmy sie nieźle, bo uzyskaliśmy nawet pochwały dowódców.

Przebieg manewrów wykazał, że żołnierz może wytrzymać nie małe trudy i ani mu się śni chorować. Robiliśmy po 40 km. dziennie, sypialiśmy gdzieniebądź, często na mokrej ziemi, i nikt się nie zaziębił. Nie jedliśmy nieraz i nie odpoczywali cały dzień i nikt nie padł ze zmęczenia. A dźwigało się około 50 kg. ciężaru na sobie. Najciężej przechodzili manewry jednoroczniacy, czyli kandydaci na oficerów. Usłużni infanterzyści nakładali im niejednokrotnie do plecaków kamieni, a wyjmowali z nich konserwy zapasowe, więc stękali z przemęczenia i pławili się we własnym pocie, jęcząc pod niezwykłym ciężarem, aż w końcu, osiągali szczyt marzeń „morudcymrę“, gdzie sobie mogli odpocząć.

Gdy zaś zostali oficerami, stosowali do żołnierzy prawo odwetu i mścili się tysiąckrotnie za zniewagi w myśl niepisanego prawa:

— Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie —

Po zakończeniu manewrów pożegnaliśmy niedługo starsze roczniki puszczonych do domu rezerwistów, zazwyczaj ojców rodzin, którzy służyli po 4 lata w wojsku. Pożegnanie było żałosne i wzruszające, ponieważ my, młodsze roczniki z r. 1911, musieliśmy jeszcze dalej przy wojsku zostać i beznadziejnie ćwiczyć.

Ale niedługo, bo za miesiąc po 1-szej turze, puszczono i nas do domu. — Odjeżdżaliśmy bez żalu do swoich domów nie przypuszczając, że za rok będziemy tu znowu gośćmi!

Maciej Czuła

W ostatnim (25/53) numerze „Wsi“ z dn. 30 czerwca 1946 r.: Prof. Stanisław Zawadzki: *Zagadnienia życia współczesnego;* Jerzy Sikorski: *Bracia Radićowie i ich dzieło;* Jan Sokolicz Wroczyński: *Wiejski cmentarz;* Włodzimierz Wnuk: *Spadkobierca talentu Sabały;* Stanisław Krzeptowski Biały: *Jak Sabała Skalne Podhale od smoka wybawił — Odwiedziny, przygody i przepowiednia Pana Jezusa w Tatrach;* Mieczysław Dereżyński: *Franciszek Beciński — poeta Kujaw;* Franciszek Beciński: *Lutnia wioskowa, — O słońca zimowym zachodzie, — Odwrót, — Z dni oczekiwania;* Jan Marcinek: *Gryzmoły;* Teodor Goździkiewicz: *Gorący dzień;* Z. K.: *30 czerwca 1946 r.;* Józef Bieniek: *Z chłopskiego miasta;* Adam Polańczyk: *Sprawy chłopskie.*
8 stron, 5 ilustracji.

STANISŁAW SKONECZNY

Pogrzeb

**Nie zbudzi nic Wojtasa, próżny jest płacz Heli,
przyszły starsze kobiety. Stygł w dymie gromnicy
dzień letni na ramach okien niedomkniętych.
Zbijał trumnę powoli pod stodołą Grzela:
– Czego głupia darmo nad umarłym krzyczy?
W ogródku warzywnym przekwitła już mięta.
Wymyty i przebrany jakby szedł na sumę,
z obrazkiem w zaciśniętych sztywnie śmiercią palcach
przeniósł się do drugiej izby w świeżo zbitej trumnie.
Jutro drogą na cmentarz, po szepcie różańca,
odjedzie w pieśniach za umarłych starego Kaźmierza.**

**Sprzątają dom sąsiadki, ściany bielą wapnem,
u Chrostów zaczyniony chleb już wyrósł w dzieżach
i ciasto na placki. Nim brzask różowo kapnął
na izbę, pieczywo wystygło nakryte na stołach.
Słońce otworzyło dzień jak wrota stodoły,
zaskrzypiały ręce studzien, szło bydło na paszę,
ptaki w drzewach zbudzone krzyczały wokoło.
Przyszli ludzie na pogrzeb z chałupek od lasu.
Koń grzęznął ciągnąc furę z trumną malowaną
w blasku przedpołudnia jak w trawie pastwiska.
Ludzie pchali wóz żałobny jękliwym śpiewaniem,
Kaźmierz z nad śpiewnika okularami błyskał.
Uchylali czapek w polu pracujący chłopi.
W ostatnim pożegnaniu Wojtas stąd odchodził,
a młody był i silny, kiedy trochę popił.
— Na co umarł? Boleści wzięły go w ogrodzie.**

**Bramę kościelną umaił zielenią kasztan
nad trumną ustawioną na sosnowych ławkach,
wyszedł ksiądz wysiedlony, dopiero co nastał.
Na wysokich wieżach młode gaworzyły kawki.
W ciszy stała młodzież, kobiety i chłopi.
Ksiądz łacińskie słowa podawał organiście,
wśród dźwięków niezrozumiałych ciało pokropił.
Szeleściły ciepłym wiatrem zagęszczone liście.**

**Krótka droga na cmentarz. Kurz koniom kopyta
parzył, podpalony pęcłami rzemienia.
Płacz zamknął trumnę na chwilę odkrytą,
którą garści suchą przysypały ziemią.
Jasina z pogrzebu wracał z Wilkiem. Na łące
jeszcze kwitły niezapominajki, pszczoły kołysały kwiaty.
– Szkoda Władka – mówili – dobrym był ojcem.
Szumiały rowery nad trawą jak wiatry.
Kaczki trzciną frunęły, na pastwisku dzieci
podnoszą krzyk nad bydłem na kijach olszowych.
Pryskały kijanki srebrem wody na przeciw,
po czeremsze słońce nieba dobiegło połowy.**

**Prosiła Hela, gdy wychodzili z cmentarza,
by przyszli na pogrzebek dobrzy ludzie.
W odświeżonej wczoraj izbie płomyk lichtarza
gasł w modlitwach za umarłych, wieczór wolno rudział.
Po ostatniej nucie kromki placka na stołach
wyrosły i chleba, mięso flaszkom litrowym
wódki wziętej za kontyngent. Grzela dokoła
przepijał żal po Władku, bo dobry był człowiek.**

**Wieś jeszcze spała. Brzask przecierał okna rosą,
kiedy przed dom Wojtasów zajechała bryczka.
Wyskoczyli żandarmii. Izbę kolby głosom
rozwarły nastroszonym Niemcom. Leutnant zły czkał:
– Gdzie chłop! — Umarł, pochowany – mówiła Hela.
Dwóch prowadziło rozczochranego sołtysa,
który, choć im służył, jak koszula zbielał.
— Umarł, umarł, wczoraj pochowany – dyszał.
Leutnant zęby wyszczerzył jak buldog. W zboża
gnali zastodołem chłopi ledwie w spodniach.
Sołtys zbierał masło, jajka, żeby łagodniej
patrzyli Niemcy. Odjechali. Z nimi groza.**

Z czasów okupacji

Podczas okupacji, rzucany działalnością konspiracyjną i walką z okupantem w opłotki wsi i lasy polskie nie zarzuciłem pisania. Przeciwnie — piosenki, wiersze i artykuły pochłaniały mi w pierwszych latach okupacji dużo czasu. Gazetki terenowe i obozowe, wieczory artystyczne urządzane po wsiach trzeba było obsłużyć. Pisało się różnie. Na miedzach wśród szumu zbóż, w chałupach rzuconych na ubocze i w lesie. Poemat o Szeli powstał w marcu 1941 r. we wsi Podzalmówek, gm. Teców, powiatu kozienickiego, gdzie mieścił się wówczas sztab Komendy okręgu O. W. „Kostka Napierski“ został napisany w lipcu pod polną gruszą niedaleko lasu tecowskiego. Urywałem po parę godzin z czasu przeznaczonego na organizowanie terenu. Wiersze i piosenki pisane były różnie i w różnych miejscach. Po pacyfikacji w powiecie iłżeckim w marcu musiałem się przenieść z drukarnią i sztabem O. W. w zachodnią część powiatu radomskiego w okolice Orońska, Szydłowca i Przysuchy. Poematy i wiersze zostały pod opieką ofiarnej bojowniczki chłopskiej o wolność A. Kapczyńskiej we wsi Podzalmówek. Wiersze przechodziły losy. Przerzucając się z oddziałami z terenu w teren, zmieniając miejsca pracy nie myślałem zupełnie o nich. Dopiero po wejściu Armii Czerwonej, kiedy przybyłem 17 stycznia do Podzalmówka dowiedziałem się, że część moich utworów ocalała. Przechowywane one były w strzesze, w ziemi, w zagacie. Kiedy dostałem je do rąk, żałosny miały wygląd: nadgniły papier, atrament zamazany wilgocią ziemi itd. Niemało trudu mnie kosztowało, nim je odcyfrowałem. Ale dużo z nich nie dało się odpisać zupełnie. Ciekawe utwory z twórczości chłopskiej owych lat jednak poginęły. Dużo wierszy, piosenek, opowiadań, rysunki chłopskich twórców z szeregów O. W., a później B. Ch. przepadło bezpowrotnie. Może kiedyś da się jeszcze odszukać je w terenach u ludzi, którzy odpisywali, uczyli się na pamięć, lub zachowywali w zakamarkach swoich obejść. Nie wiem czy czytelnictwo wsi polskiej wzniesie się na tak wysoki poziom zainteresowań, jaki był w latach 1941, 2, 3, 4. Każdy kawałek papieru zadrukowany pismem powielanym był czytany aż do zupełnego zdarcia. To był właśnie nasz największy sukces, jaki odnieśliśmy w czasie niewoli niemieckiej. Wieś polska sama nauczyła się czytać i myśleć nad tym, co czytała.

Stanisław Skoneczny

EDMUND RABOWICZ

„Tomaszka" – niepiśmienny poeta

Rozczytując się w jednym z ostatnich numerów „Wsi" tak się zainteresowałem „Twórczością samorodną", że postawiłem sobie pytanie czy nie mógłbym i ja „wetknąć tu swoich pięciu groszy" tym bardziej, że pochodzę ze wsi, i że zawsze problemy wsi żywo mnie obchodziły. Jestem wileńszczakiem. Obecnie jako repatriant znalazłem się w Poznaniu (studiuję na Uniw. Pozn. humanistykę). Tu w zetknięciu z Wielokopolanami miałem sposobność porównania chłopa wileńskiego z chłopem zachodnim. Pozwoliło mi to głębiej poznać i ocenić wartość ukochanego przeze mnie ludu z moich stron ojczystych. Piszę to, by choć w części wytłumaczyć charakter może zbyt śmiałego, jak na pierwszy raz mojego listu.

Dwa wiersze M. Woźnej zamieszczone w Nr 8 (36) „Wsi", przypomniały mi postać podobną, lecz bardziej pierwotną w swoim rozwoju nie mniej jednak ciekawą i oryginalną, jak i nowa „debiutantka". Za czasów mego dzieciństwa (ok. r. 1930) przystał do mego ojca na służbę stary kawaler, chłop po czterdziestce nazwiskiem Rymkiewicz. Z imienia zwali go wszyscy „Tomaszka". Niechętnie go ojciec przyjmował, bo chorobliwie „nalana" twarz, wielka powolność w ruchach, ciągłe zamyślenie i idące za tym roztargnienie nie wróżyły nic dobrego. To też ledwie dobył do końca roku. Nie lubił go ojciec. Głównie chyba za to, że swoimi bajkami, „przypowiastkami" i wierszami przeszkadzał współtowarzyszom w pracy. I rzeczywiście, gdy tylko Tomaszka poruszył ustami, chłopom otwierały się gęby, dziewczęta rzucały grabie czy sierpy i podbiegały, by nie uronić jednego słówka. Bo nikt tak „gładko" nie mówił, jak Tomaszka. Na poczekaniu mógł tworzyć rymy o „tylko co stawszy się zdarzeniach" i to bez różnicy czy w polskim czy białoruskim języku. A jego humor! „Tož jak poczni gadać, brzuchi penkajo od śmiechu" — mawiano powszechnie.

Widziałem w jaki sposób tworzył. Pasł konie w parowie. Usiadł na pniu i zmarszczywszy czoło, myślał. Nie spostrzegł że konie przeszły na druga stronę pastwiska, i że zagrzęzły w błocie. Obserwowałem go, chociaż byłem zajęty zbieraniem malin i poraniem się z parzącymi pokrzywami. Gdy już byłem względnie najedzony, podszedłem do niego i spytałem, o czym tak myśli

— Wiersz układam.

— A masz już choć trochę?

— Trocha.

— To powiedz Tomaszka.

Nie trzeba było długo prosić. Od razu zaczął „sypać jak z bobu". Wiersz ten wyleciał mi jednak już z pamięci. Wiem tylko, że mnie zachwycił.

Zdarzenie to było jedną z pobudek, jakie skłoniły mnie później do śpiewania Muzom, a wyrażając się w języku mojego ojca: „do układania bajek".

Rozentuzjazmowany prosiłem Tomaszkę, by nauczył mnie swoich wierszyków. Zgodził się. Usiadłem przy pniu, rozłożyłem zeszyt i zacząłem koślawymi literami (a byłem wtedy w trzeciej klasie szkoły pow.), pisać pod jego dyktando. Szło to z trudem, bo nieraz musiał powtarzać kilka zwrotek od początku, żeby powiedzieć dalsze. Lecz jakoś udało się napisać aż trzy wiersze. Nauczyłem się ich potem na pamięć. Z tego dwa jeszcze dziś pamiętam. Posyłam je dla Szanownej redakcji. Mój Tomaszka musiał ów dzień odpokutować: dostał naganę od ojca za niedopatrzenie koni.

Chciałbym jeszcze troche powiedzieć o życiu mego „protegowanego".

Tomasz Rymkiewicz pochodził ze wsi Hadziluny pow. Święciany. Po ojcu miał otrzymać kawał zadłużonego gruntu. Ale Tomaszka, którego powszechnie zwano „stukniętym", nie potrafił utrzymać ojcowizny. Stracił ją w pierwszym procesie jeszcze przed pierwszą wojną światową. Z braku środków materialnych nie mógł ani myśleć o jej odzyskaniu. Zaczął się okres parobkowania (służby). Nigdzie nie potrafił się dłużej utrzymać niż rok. Wkrótce urobiła się o nim opinia jako o takim, którego „sam diabeł nie pojmie". Do tego w dużej mierze przyczyniło się dziwne dla wielu powodzenie Tomaszki wśród młodzieży. Nie opuszczał ani jednej zabawy i na wszystkich był mistrzem atrakcji. Samemu zjawieniu się przysadzistej, trochę pokracznej postaci we drzwiach zapchanej izby towarzyszył zawsze wybuch szczerej radości. Do kąta, gdzie stał Tomaszka (wygłaszał swoje „wierszy" przeważnie stojąco) cisnęli się jak do odpustu i „dziady" i „baby" i chłopcy i dziewczyny. Nie brakło też i dzieci, chociaż tych, kto mógł usuwał, żeby się nie zgorszyły. Bo głównym tematem „bajek" Tomaszki był erotyzm i seksualizm. Obrazy kreślone w stylu soczystego naturalizmu nie miały nigdy równych w albumach pornografii. Tkwią mi w pamięci niektóre motywy, jednak nie mogę ich odtworzyć w jego języku. Gdybym miał dać im miejsce w naszej literaturze, powiedziałbym, że są prototypem „Bajki o królewnie P——linie". Al. Fredry. Obok wierszoklety był Tomaszka autorem bajek wygłaszanych prozą, kompozytorem aktualnych piosenek, ba, nawet mistrzem baletu. Miał swój ulubiony, oryginalny taniec „bubliczki". Tańczył go solo, przygrywając sobie na tym samym instrumencie, co i dantejski Barbaricia w 21 pieśni „Piekła". Trzeba było patrzeć na te występy, by móc je należycie ocenić. Tomaszka podnosił poły swojej łatanej sermięgi i w coraz to szybszym tempie puszczał się „prisiudami" wzdłuż izby. Potem zakręcał półkole wzdłuż ścian, jak po szkle ślizgały się „łapcie" tancerza czy to po zabłoconej podłodze, czy też po glinianym klepisku.

Z prisiudów przechodził w udane naśladowanie ruchów rozbrykanego źrebaka. Dopomagał ustami tam, gdzie brakło naturalnej energii do wydania odpowiedniego całości symfonii dźwięku. Ocierał rękawem pot z czoła, by jeszcze szybciej i zwinniej wierzgnąć nogami. Potrafił tańczyć bez przerwy chyba przez 10 minut. A zbierał taką ilość oklasków, że nie każdy artysta teatralny może się tym poszczycić.

Co teraz porabia Tomaszka? czy jeszcze żyje? nie wiem. Do wybuchu wojny przebywał w swoich Hadzilunach, gdzie trzymał w arendzie parę hektarów ziemi. Co go do tego skłoniło, nie umiem powiedzieć. Ten nowy tryb życia, też mu nie bardzo odpowiadał. Taką przynajmniej mieli opinię okoliczni chłopi, którzy nie przestali z niego się nabijać.

Jeszcze parę słów o posłanych przeze mnie dwóch wierszach Tomaszki. Proszę się nie zrażać okropną formą. Tworzył je przecież analfabeta. Gdy napisałem owe trzy wiersze, prosiłem go o podpisanie się pod nimi. Zgodził się, lecz czynność uwiecznienia na papierze nazwiska i pierwszej litery imienia trwała chyba z kwadrans. Zeszyt z tym podpisem jeszcze do zeszłego roku był w moim „archiwum", prawdopodobnie znajduje się tam i teraz, ale nie mogę z niego skorzystać, gdyż moje zbiory zostały po tamtej stronie granicy (na Wileńszczyźnie).

Z dwóch posłanych wierszy nazwałem pierwszy „zdarzenie prawdziwe", gdyż taką uwagą zawsze poprzedzał autor każde wygłoszenie tego wiersza.

Faktyczne zdarzenie to miało miejsce, lecz jeszcze przed wojną światową (około 1910 roku). Nazwiska i nazwa miejscowości (Drawrzelis) są autentyczne. Potwierdzają to wszyscy starzy chłopi. Tego rodzaju wierszy słyszy się dużo na kiermaszach (jarmarkach). Różnią się one jednak od naszego tym, że są pisane najczęściej na zamówienie przez zawodowego wierszokletę, ten zaś powstał w umyśle chłopa z pobudek najbardziej bezinteresownych.

Jedynym celem, jaki przyświecał autorowi, mogło być tylko przekazanie potomności ważnego w życiu wsi zdarzenia — czas powstania tego wiersza należy przenieść w okres bezpośredni przed wojną światową. Wskazuje na to wyraz „uradnik", którego już za czasów polskich nie używano; oznaczał on urzędnika gminnego z czasów Rosji carskiej. Drugi wiersz, zdecydowanie jak i pierwszy epicki posiada oryginalne zabarwienie satyryczno-groteskowe. Cała jego fabuła — to fantazja. Chłop zawsze się nabijał z religii żydowskiej i to głównie dlatego, że w niej nie ma świętych. Słuchałem nieraz „scholastycznych dyskusji" chłopów z żydami na temat świętych. Najczęściej Żydzi zaprzeczali mniemaniom chłopskim i wymieniali takich świętych, jak Mojżesz, Salomon, Dawid. Chłopi odpowiadali, że to są „krześcijańskie święte". Otóż nasz wiersz jest żywotem domniemanego żydowskiego świętego, Kijona. Skąd to imię, nie wiem. W ustach Tomaszki utwór ten był niezrównany, gdyż wygłaszał go ze wspaniałym naśladownictwem żargonu żydowskiego. Starałem się to uwidocznić na piśmie zmieniając wszystkie **r** na gardłowe **h**. Takie wyrażenia jak „Kijon Bożego" „do brzozy wysokiego" „nie ma ani kawałki" są żywcem wyjęte z ust żydowskich. Wiersz ten zawsze wprawiał chłopów w szał wesołości. Czasu powstania nie mogę określić. Przypuszczam, że ok. 1920 r.

Z nadesłanych przez p. Rabowicza wierszy drukujemy z braku miejsca tylko „Zdarzenie prawdziwe". Utwór ten pozwala zupełnie dobrze zorientować się w charakterze twórczości poetyckiej niepiśmiennego układacza wierszy „Tomaszki". Przedrukowujemy go ściśle zachowując wszystkie właściwości pisowni według tekstu nadesłanego przez p. Rabowicza.

„TOMASZKA"

ZDARZENIE PRAWDZIWE

Miarzyli z butelki do szlanki
I tak stali pogadanki.
Już Prancewicz mój zaczyna:
„Gdzie my pójdziem kraść jarzyna?"
A Szostak odpowiada:
„Wiesz, braciszku, trudna rada.
Ludzi pochitrzeli.
Jarzyna z pola pozdjęli.
„Na szalmuszce grykaż co skoszona
Jeszcze nie zwożona".
Poszli do Szostaka,
Założyli bialaka.
Jak siond Szostak z Brancewiczem,
Jak zadali koniu biczem,
Jak z pioruna polecieli,
Żeby ludzi nia widzieli.
Co żądali,
Otrzymali:
Już do gryki przyjechali.
Szostak na woz woszni,
A Brancewicz porzędkui.
Pośle stał Brancewicz do Szostaka szeptać:
„Wiesz, braciszku, lenkam sia ja woza deptać".
A Szostak odpowiada:
„Wiesz, braciszku, trudna rada.
A czy pamientasz, jak my na strzesia dziure darli?
ale my ze strzech pospadali.
Czego głów nia poskrencali..."
Nałożyli woz niamały
„Czy powiezi koń nasz biały".
Z miejsca brali.
Duha połamali.
Duha w Dranelis'kach pożyczyli,
Nu i konia założyli.
Wszystkie poli wykierzali
Przez sosniaki przajachali,
Nu na droga wyjechali,
Wiela ludzi spotykali.
A wszystko to ich sia pytali
„Skond wy ta gryka brali?"
„U Szurki,
U Murki,
Na połowie sieli".
Tak dobrego czasu
Przyjachali do spasu.
Żona Szostaka
Odłożyła bialaka.
Brancewicza żona umna
Uciongnęła woz do gumna,
A sonsiedzi przyskoczyli,
Do zastronka wywrócili,
Nu i słomo nakryli.
Na jutro był ślad:
Umne,
Rozumne
Przyszli aż do Szostaka gumna
Swoja gryka poznawali
Uradnika sprowadzali.
A uradnik wzioł penty,
spentał w żelazne penty
I dał wioskowym pogłoska,
Że bendo pendzić złodzieja przaz wioska.
I przaz wioska przapendzili,
I do chłodnej zasadzili,
I na tym wiersz zakończyli.

SŁOWNICZEK WAŻNIEJSZYCH WYRAŻEŃ GWAROWYCH

Miarzyli — mierzyli
stali — zaczęły się (stać = zacząć)
pochitrzeli (od chytry) — stali się przebiegli, chytrzy
siond — (od siąść, usiąść) siadł
zadali — mocno uderzyli (konia)
woszni — (od woszować — nosić, ciągnąć, taszczyć) składa, nosi
pośle — potem
lenkam sia — lękam się — boję się
duha — kabłak, część uprzęży
wykierzali (od wykierząć) — zjeździli we wszystkich kierunkach
spas — miejsce przechowania
umny — rozumny, roztropny
zastronek (albo zastoronek) — część stodoły (oprócz klepiska)
uradnik — urzędnik gminny (w Rosji carskiej)
chłodna — przen. więzienie.

STANISŁAW GAŁĄZKA

Reforma pisowni – społeczną potrzebą

Należy się zastanowić nad naszą pisownią, nad jej skomplikowaniem i niedostępnością pod kątem interesów kultury wsi polskiej.

Na pisownię jest narzekanie powszechne: w mieście, na wsi, w szkole itd. To znaczy, że obecny układ zasad tej pisowni pozostawia dużo do życzenia, należy do rzeczy, które nie wytrzymały próby życia, a zatem musi bezwarunkowo ulec reformie.

Już w tej materii były głosy krytyczne, które dochodziły do przeświadczenia, że sama nasza kultura zyska na tym, rozwijanie się oświaty i życia intelektualnego stanie się o wiele łatwiejsze i sprawniejsze, gdy reforma pisowni zostanie zrealizowana. Lecz nawoływania i akcentowania tego rodzaju, niestety, zamilkły w nawale innych ważnych i mniej ważnych spraw.

Zaznaczmy, że te nawoływania do reformy rozlegały się przed 39 rokiem. Nie było mowy, ażeby wystąpiły one na forum w okresie hitlerowskiej okupacji; obecnie zaś, kiedy od wyzwolenia całej Polski upłynął zgórą rok, nie było, zdaje się, ani jednego artykułu w naszej prasie codziennej czy perjodycznej, któryby wskazał na doniosłość zagadnienia uproszczenia pisowni.

A przecie, kiedy obserwujemy naszą wieś, jej początkowe a jednocześnie żywiołowe stadium w kierunku przekształcania się na warstwę uświadomioną, kulturalną i prężną pod względem swoich twórczych możliwości, a przez to decydującą o losach Polski, to stwierdzamy w sposób oczywisty, że młodzież chłopska ma duże trudności w przyswajaniu sobie sztuki poprawnego pisania. To samo zresztą zjawisko można obserwować wśród młodzieży robotniczej inteligencji.

Ortografia dotychczasowa ciągle dokucza, bruździ, opóźnia proces przyswajania sobie pisania, a często go wprost uniemożliwia. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że będziemy zdążać do tego, aby każdy obywatel umiał się wypisać pod względem ortografii. Bo w pewnej mierze znajomość ortografii wywiera wpływ na znajomość prawideł i poczucie stylu. Człowiek, który ma wewnętrzne przekonanie, że pisze ortograficznie bezbłędnie, nabiera otuchy i pewności do dalszego doskonalenia się w sztuce pisania i czytania.

Możemy zacytować parę przykładów: **chata** i **hak**, **ogórek** i **rura**, **żaba** i **rzeka**. Dlaczego używamy **ch** i **h**, **ó** i **u**, **ż** i **rz**, kiedy litery oznaczają dźwięki mniej więcej te same. Pewnie, że różnica fonetyczna pomiędzy nimi występuje, lecz wobec problematu, że każdy młody obywatel musi poznać dokładnie sztukę pisania i czytania, bo to jest odskocznią do pracy nad umasowieniem kultury, te subtelności dźwiękowe powinny odpaść. Również należałoby zunifikować kwestię pisania przyimków, spójników, przysłówków ect, albo **razem**, albo — **oddzielnie**. Dotychczasowy stan pod tym względem, który każe pisać w jednym wypadku **oddzielnie**, w innym natomiast **razem**, a jednocześnie dopuszcza masę wyjątków od reguły, powoduje tylko chaos i gmatwaninę. Widzimy więc, że pozycji w naszej ortografii, które wymagają logicznego i praktycznego rozwiązania, jest mnóstwo.

Czy nie mam racji?! Napewno będą się gorszyć mymi pomysłami: świat naukowy, literaci i ludzie, którzy nie dadzą się nigdy oderwać od zaskorupiałej tradycji, którą obrośli, będzie taka sama burza niezadowolenia — a nawet i gorsza — jak to byliśmy świadkami w roku 1936, kiedy po częściowej reformie zdecydowana większość świata literackiego zajęła stanowisko wybitnie negatywne. Ta większość mniemała, że wszelki zamach na stary system ortograficzny jest profanacją rzeczy nietykalnej. I niesłusznie najzupełniej! Polak zawsze ma tę niekorzystną wielce cechę, że uparcie trzyma się tego, co było, jest zadurzony i zaślepiony w formach przestarzałych, tradycyjnych. Bądźmy ducha rewolucyjnego, idącego z postępem, ducha, który nigdy nie pozwoli sobie na opóźnianie się, lecz przeciwnie będzie zawsze myślał, ażeby wyprzedzać.

Niestety, wspomniana reforma w r. 36 była częściowa i zasadniczych trudności, a przy tym w sposób całkowity, nie usunęła, dlatego dzisiaj, kiedy po 6-letniej okupacji wstąpiliśmy w okres wolności, musimy koniecznej naprawy ortografii dokonać. Zwlekać nam nie wolno!

I uważam, że właśnie pisarze ludowi, którzy dochodzą do coraz większego wpływu na losy kultury narodowej i są zrzeszeni w silnej akcji ogólnego Związku Zawodowego Literatów Polskich, winni zająć się kwestją reformy polskiej ortografii. Wszak chodzi tu o interes przede wszystkim szerokich mas chłopskich. Nie wolno nam dopuścić do tego, ażeby skomplikowana i zagmatwana pisownia ojczystego języka była poważną przeszkodą w podnoszeniu się wsi polskiej.

Artykułem powyższym, który pisze jeden z chłopów samouków, pragnąłbym zapoczątkować dyskusję. Więc bardzo proszę, ażeby w pierwszym rzędzie wypowiedzieli swe zdanie pisarze ludowi.

wieś Konotopy

KLEMENS OLEKSIK

Rodzina

(Fragment powieści pt. „Powołanie Daniela")

Pierwsze dni Daniela po powrocie z klasztoru wydawały mu się snem ciężkim. Swoboda, jakiej zażywał teraz, przerażała go prawie i wytrącała z równowagi. Świat z za murów klasztornych, za którym tęsknił tam, w Górce, a który teraz wciągał go w swoje tryby, nie miał nic z tych złudnych uroków. Oto był już w domu, zobaczył matkę i braci. Tęsknota została zaspokojona.

— Na długo przyjechałeś?

Najgorsze było to, że matka naprawdę nie wiedziała o jego decyzji. Już na drugi dzień po przyjeździe przestano się nim zajmować. Nic nie zostało z tej uroczystości, z jaką przyjmowano go wczoraj. Stacho poszedł jak zwykle do kuźni, Marynia do szkoły. Matka postawiła na stole garnuszek kawy i chleb. Siadła naprzeciw niego i Daniel poraz pierwszy mógł stwierdzić jak bardzo. zmieniła się przez trzy lata jego nieobecności. Twarz jej zmalała do rozmiarów twarzy dziecka i pokryła się zmarszczkami Zdawało się, że cała z nich się składa. Siwe włosy wysuwały się z pod chustki, a gdy ją zdjęła poprawiając sobie upięty z tyłu warkocz, stwierdził, że z jej bujnych niegdyś włosów pozostały tylko resztki.

Nie mógł jej powiedzieć teraz, że porzucił klasztor na zawsze, że nie będzie zakonnikiem. Że ma dość życia zamkniętego w murach. Tam, w Górce, wszystko wydawało mu się inaczej. Najważniejszą rzeczą było przyjechać, zobaczyć dom, uścisnąć matkę, braci, siostrę — reszta jakoś się ułoży. Dalej, poza to , nie rozszerzał swoich marzeń. Nie było to konieczne.

— Po śmierci ojca jest nam coraz ciężej. Pietrek od czasu do czasu coś da, ale to trzeba posłać Pawłowi.

Paweł był oczkiem w głowie dla nich wszystkich. Matka i Pietrek pokładali w nim wielkie nadzieje. Siedział już trzeci rok w Warszawie, w tej swojej SGGW, klepał biedę, bo chociaż chwalił się korepetycjami, to jednak te paczki od matki przyjmował i nigdy w swoich listach nie napisał o zaprzestaniu wysyłek.

Danielowi kawa wydawała się coraz bardziej gorzka i suchy chleb trudniejszy do przełknięcia. Stacho, który wracał z kuźni zmęczony i umorusany, stał się dla niego wyrzutem sumienia. Próbował nawiązać z nim jakąś rozmowę, byle zatrzeć gnębiące go uczucie zbędności. Nie bardzo się to udawało. Chłopak zbywał go byle czym, mył się, wypijał kawę i wychodził. Miał swoich kolegów i ustalone rozrywki. Zdawało się nawet, że przychodził pijany, a matka milcząco słała łóżko, często pomagała mu się rozebrać i ani słowem nie napominała. Daniel nie mógł znieść odoru jaki rozchodził się od Stacha w takich chwilach, bo spali razem z braku drugiego łóżka. Nieśmiało kulił się na swojej szczupłej części. Rano Stacho wstawał jak zwykle i matka nie potrzebowała budzić go wcześniej. Ubieranie, mycie i kawa zabierały mu nie więcej jak kwadrans. Zabierał chleb do kieszeni na drugie śniadanie. Tak samo milcząco wysuwała się z domu Marysia (aby go nie budzić!) — i Daniel zostawał sam z matką.

Nie przynosiła mu już kawy do łóżka. Najczęściej sam sobie usłużył, bo matka zajęta była praniem. Przez drzwi od kuchenki dochodziły nieustanne odgłosy przecierania na tarze bielizny. Gdy szedł tam po kawę, matka środkiem ręki podrzucała kosmyki włosów z czoła, przestawała na chwilę w charówce i mówiła mu, że kawa jest tam, a chleb tu.

Nie, ona nigdy nie dawała mu tego odczuć, a jednak Daniel zabierał się do jedzenia jak winowajca. Był przekonany, że jest niepotrzebny. Krzywo patrzono na wszelkie jego próby zadomowienia się. Nadal traktowano go jak gościa, obsługując go w nadziei, że przecież kiedyś wyjedzie. Gdy chciał narąbać drzewa, matka odwoływała go, mówiąc, że Stacho to lepiej zrobi, nawet po wodę do studni nie szedł, gdyż ktoś (najczęściej matka) go uprzedził.

— Niech mi mama powie, kiedy zabraknie wody, to przyniosę.

— Czytaj sobie, ja już przyniosę sama — odpowiadała, a on gryzł się w sobie ze złości.

Śledził ją ukradkiem jak wracała z wiadrem pełnym wody. Musiała kilka razy odpoczywać. Wychodził więc jej na przeciw, niby przypadkiem rozejrzeć się, i był bardzo szczęśliwy, gdy szedł koło niej niosąc wodę. Ale gdy się zaczytał, zapominał o tym i matka sama chodziła do studni.

W pojęciu domowników był nadal jeszcze zakonnikiem, księdzem, któremu nie wszystko przystoi. Ta nieszczesna fotografia, którą zrobił sobie w klasztorze w wypożyczonej sutannie wisiała nad łóżkiem matki, koło innych obrazków. Spoglądał z nienawiścią na samego siebie. Kilka razy postanawiał sobie zniszczyć ją, porwać na drobne kawałki i spalić, a im powiedzieć, że jest zwykłym człowiekiem, takim jak oni wszyscy, niechże nareszcie przestaną go uważać za coś innego. Chciał, by mu pozwolono rąbać drzewo, nosić wodę, zamiatać izbę. Żeby nie spoglądano ze zdziwieniem, gdy zabiera się do skrobania ziemniaków lub gdy chce pomóc w myciu podłogi.

A tu i sąsiadki traktowały go jak honorowego gościa. Znajomi, przy spotkaniu, pytali jak długo jeszcze będzie w domu, jak mu się powodzi w klasztorze i kiedy wyjedzie na misje. Koledzy żartowali, że z nim nie o wszystkim wypada mówić, bo się zgorszy , albo nie da później rozgrzeszenia.



rys. St. Cieloch

W kościele oglądano się na niego, obserwując jak się modli. Wybierał więc zakątki w bocznych kaplicach, ale modlić się już nie umiał i nie mógł.

Wracały coprawda chwile gorliwego uniesienia. Błagał Boga o łaskę oświecenia — co ma teraz czynić!

Porzucił klasztor, stracił powołanie. Zdawało mu się często, że już teraz sprawdza się to, co powiedział kiedyś O. Magister na konferencji duchownej: Człowiek, który utracił powołanie, nigdy nie będzie szczęśliwy w życiu. Były momenty, że chciał wracać do Górki, zamknąć się w klasztorze na zawsze. Stany te jednak nie trwały długo. Z kolei marzył o jakimś cudownym zdarzeniu. Pojedzie do Warszawy, skończy kurs nauczycielski, zostanie nauczycielem. Lecz kto będzie płacił? Albo nie: wszystko mu będzie odpowiadać, każdy rodzaj pracy, byle nie tu, gdzie go wszyscy znają i każdy jego zamiar pracy przyjmowany był pół serio.

Któregoś dnia spotkał go stary Wójtowicz. Był nadal listonoszem, otrzymał teraz wyższą grupę.

— Niech pan pomówi z naczelnikiem, może mógłbym pracować — prosił go Daniel.

Wójtowicz, który go bardzo lubił (gdy był chory, Daniel przynosił mu lekarstwa) wziął podanie i obiecał poprzeć u naczelnika. Danielowi poprawił się humor i matka zauważyła to, i sądząc, że wiąże się to z decyzją powrotu do klasztoru, wysiliła się na lepszy obiad.

Tylko Stacho siedział przy stole zasępiony. Wczoraj przyszedł znowu pijany i Daniel z trudem panował nad chęcią powiedzenia mu kilku cierpkich słów. Zaczął jednak obojętnie:

— Jak się czujesz?

Stacho wziął to za przycinek do wczorajszego dnia.

— To nie twoja rzecz —odburknął, a potem dodał: — Nie dajesz mi na wódkę.

Wtedy już matka się wtrąciła: — Ale bo i prawda. Mógłbyś sobie kupić kiełbasy i zjeść, zamiast wydawać pieniądze na takie świństwo.

— I byłbyś zdrowszy — dorzucił Daniel.

Stacho odrzucił łyżkę i zerwał się od stołu.

— To mama tak?! To on sobie już trzeci tydzień siedzi w domu jak pan, czyta książki i chodzi sobie na łąki, a ja charuje jak wół. I mama jeszcze za nim. Nawet jeść mi nie dadzą spokojnie. Takie zasrane życie!

— Stachu! Stachu! — wołała matka, ale on już z czapką nasuniętą na oczy mignął koło okna.

— Co on taki zły? — spytał Daniel.

Matka milczała.

— Musi mu mama nagadać, bo on się rozpije, przyzwyczai do wódki, a potem...

Zaniepokoiło go jej milczenie i gdy podniósł oczy na nią, zobaczył, że płacze.

— Dlaczego mama płacze, mamo?

Płacząc skarżyła się, że nie ma z nich pociechy, że każdy z nich robi co mu się podoba i żadnemu nie można nic powiedzieć, bo zaraz się obraża. Wrodzili się w ojca. I on był taki prędkus i uparty. Ale gdyby żył — byłoby inaczej.

I w końcu powiedziała to:

— Bo z tobą to też nie wiadomo jak i co? Nie wiem czemu nie jedziesz tam...

W Daniela jakby zły duch wstąpił.

— Ach tak!! Więc mama mnie wyrzuca? Dobrze! Dobrze! Pojadę! Pojadę zaraz jutro — zaraz jutro — powtarzał jak idiota. — I mogę już nie wrócić!

Latał po izbie i z trudnością tłumił w sobie chęć do płaczu. Dolna warga wykrzywiła się wśród drgań. Sam nie wiedział jak bardzo był podobny teraz do Stacha. Wyleciał z izby jak oparzony. Gdy wrócił po pewnej chwili, matka siedziała w kuchni na łóżku z podpartą głową. Najwidoczniej płakała, bo gdy zajrzał tam, wykręciła się i zaczęła czegoś szukać w szmatach, mocno nad nimi pochylona.

Daniel usiadł do książki, ale o czytaniu nie było mowy. Czuł w sobie jakiś wielki niepokój i żałość.

Nazajutrz wstał bardzo wcześnie i z niepokojem zaczął przygotowywać się do wyjazdu. Gdzie? dokąd—nie wiedział. Książki, które niby porządkował, wypadały mu z rąk, przekładał je z miejsca na miejsce. Ostentacyjnie rozłożył walizkę, w której nie było co porządkować. Matka wszystko poukładała.

To go jeszcze bardziej rozżaliło.

— Chcą się mnie jak najprędzej pozbyć. Siłą tłumił łzy cisnące mu się do oczu, bał się, że matka zauważy. Zaczął więc gwizdać jakąś melodię.

Matka przyniosła placki kartoflane, które bardzo lubił i białą kawę. Postawiła na stole i powiedziałao łagodnie:

—Jedz, bo wystygną.

To jeszcze nie było okazją do wypowiedzenia wszystkich żalów. Ale czuł doskonale, że jeszcze jedno słowo matki, a wtedy powie: To wasza wina, że jestem taki. Mamy i ojca. Po was odziedziczyłem tę niezaradność w życiu i ten lęk przed wszystkim. Trzeba było mnie wychować inaczej.

To jednak nie prowadziło do niczego. Ma dziewiętnaście lat — trzeba być mężczyzną, do diabła!

Pił kawę i przeżuwał zmieniające się coraz postanowienia. Wiedział, że dziś musi napewno wyjechać. Śmieszne, ale ta biała kawa i te placki żegnały go najwyraźniej.

— Ale dokąd? Nie do klasztoru — to pewnie. Za uroczyście został tam pożegnany. Przypomniał sobie scenę pożegnania z O. Magistrem. Powiedział mu wtedy wbrew temu, co twierdził na konferencjach: Nie przejmuj się, w świecie można być również dobrym człowiekiem.

— Gdzie się podziały więc te moje plany? Zawołał to prawie głośno i matka spytała z kuchni:

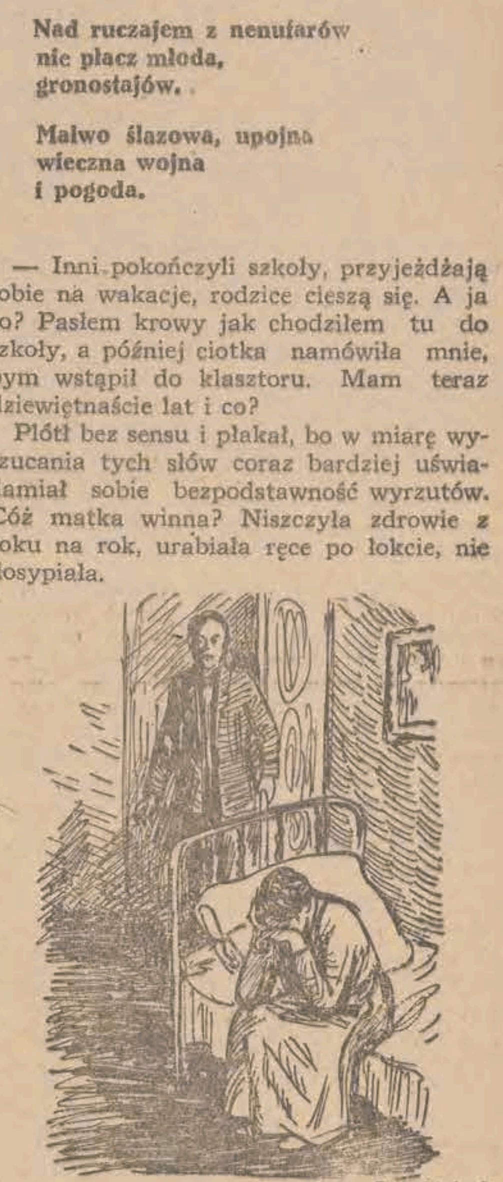
— Dolać ci kawy?

— Nie chcę waszej kawy! Nie będę pił więcej waszej kawy!

Matka usiadła na łóżku i oczywiście podniosła fartuch do oczu.

— Inni pokończyli szkoły, przyjeżdżają sobie na wakacje, rodzice cieszą się. A ja co? Pasłem krowy jak chodziłem tu do szkoły, a później ciotka namówiła mnie, bym wstąpił do klasztoru. Mam teraz dziewiętnaście lat i co?

Plótł bez sensu i płakał, bo w miarę wyrzucania tych słów coraz bardziej uświadamiał sobie bezpodstawność wyrzutów. Cóż matka winna? Niszczyła zdrowie z roku na rok, urabiała ręce po łokcie, nie dosypiała.



rys. St. Cieloch

Było mu głupio, bo z kuchni zajrzała Kwapiszowa. Nie wiadomo było kiedy weszła.

— Pożyczcie mi, kumo, rondla. Matka dała jej rondel, ale Kwapiszowa nie zdradzała chęci do wyjścia.

— Słyszeliście, że mówią o wojnie z Niemcami?

— Tak. Tak. Bóg wie co będzie.

— Będzie co Bóg da — westchnęła matka.

— Mój mówi, że na stare lata jeszcze raz pójdzie na wojaczkę. Ale ty chyba nie, zakonnik — zwróciła się do Daniela.

—Nie wiem — nie wiem — powiedział zmieszany — jak będzie trzeba.

— Gdzieby zaś, kumo — zakonnik albo ksiądz — na wojnę — słyszycie?

Kiwała głową i nareszcie wyszła z rondlem, a matka za nią. Rozmawiały jeszcze przed domem.

W tej chwili wpadł Stacho. — Mobilizacja! — wołał od drzwi.

— Wojna! Wszędzie są ogłoszenia. Niemcy napadli na Polskę!

Był bardzo podniecony. Zawsze marzył o wojsku.

Tylko matka pokiwała smutnie głową.
— Od powietrza, głodu, ognia i wojny — zachowaj nas, Panie!

— Stachu, przynieś wody — zawołała z kuchni.

— Niech Daniel przyniesie, ja lecę jeszcze do kuźni.

Gdy Daniel wyszedł z wiadrem, matka zamknęła walizkę i włożyła ją na szafę.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Piosenka do krewnej

Nad ruczajem z nenufarów
nie płacz, młoda,
łez, korali.

Cicha bądź, malwo żałosna,
wieczna wiosna
i uroda.

***

Gwiazda w opadłym promieniu
mrze wieczorem
na strumieniu.

Poloneza nucą Jadzi
bracia bladzi
lasem, borem.

***

Przy drużynie przez ostrowy
popłakuje
plutonowy.

W łódce z malin mleka skopiec, –
inny chłopiec
pocałuje.

Nad ruczajem z nenufarów
nie płacz młoda,
gronostajów.

Malwo ślazowa, upojna
wieczna wojna
i pogoda.

STEFAN BAŚCIK

Chłopska młodzież akademicka

w przedwojennym życiu organizacyjnym i społecznym *)

Jest ogólnie przyjętą zasadą, że inteligencja, pochodząca ze wsi, czy to z wykształceniem średnim, czy wyższym, zrywa wszelkie stosunki ze wsią, z klasą chłopską, utrzymując najwyżej stosunki z najbliższą rodziną przez korespondencję, odwiedzanie, przyjazd podczas urlopów, przez dorywczą pomoc materialną itp. Nie interesuje się natomiast życiem społecznym i gospodarczym wsi rodzinnej czy wsi wogóle. Nie interesuje się zagadnieniami dotyczącymi struktury społecznej, gospodarczej klasy chłopskiej, jej potrzebami i nie bierze udziału w dążeniu wsi do lepszej przyszłości, — jednym słowem nie bierze udziału w ruchu chłopskim. Ba, nieraz zaprzęga się do pracy przynoszącej wsi szkodę, zaciera skrzętnie swe pochodzenie, odnosi się z wybitną niechęcią do wsi — wysferza się.

Tak było dotychczas i tak dzieje się często i dziś z młodą inteligencją chłopską. Padały też i padają jeszcze pytania ludzi szlachetnych, widzących odrodzenie państwa w ruchu ludowym, tej miary co Orkan, Witkiewicz: Gdzie tracą się synowie wsi, którzy zdobyli wykształcenie? Pisze też Orkan w swych „Listach ze wsi":

„Pytają się dziś w Polsce: co dzieje się z synami chłopskimi, którzy, wykształciwszy się, oderwali się od wsi rodzinnej i poszli w świat pracować na różnych polach? Tylu ich zewsząd idzie do szkół — czemu się niczym w kulturze narodu nie wyróżniają? Czemu do tej kultury ogólnej nic swego rasowego, nic ze wsi polskiej nie wnoszą? Jest ich moc — czemu nie wytworzą w Polsce człowieka nowego typu?

„Te pytania troską idą po sercach, które trapią się przyszłością, widząc tę t. zw. inteligencję zszablonizowaną, banalną, zaszarzałą. Wierząc w lud, nie mogą uwierzyć że chłop przechodząc w wyższe t. zw. rejony, ginie dla ludu, a często i dla siebie.

„Jednostki, które otrzymały wyższe wykształcenie — stwierdza z ubolewaniem Witkiewicz — opuszczają sferę ludową, dezertują z niej, przyłączają się do „panów" i nie tylko nie wpływają na podniesienie umysłowego i moralnego poziomu sfery, z której wyszły, lecz przeciwnie często są drogowskazami krętych dróg, na jakich się „robi kariery".

Woła też następnie Orkan do synów wsi Podhala, kształcących się: „...Ze wsią swą rodzinną żyj i daj jej, co najlepsze z duszy swej. Wróć braciom, coś wiedzą zdobył. Nie przecinaj korzeni, łączących Cię z rodziną — choćbyś na końcu świata się znalazł. To tak jakbyś przeciął żyły żywota...

„Wiedz że Ty wydźwigujesz piersią ziemię swoją, swój kąt ojczysty — albo go hańbisz i poniżasz. Pierś Twoja niech będzie przeto napięta na najwyższy ton. To winieneś Duchowi Twojemu i Ojcom swoim" (Poręba, 10 sierpnia 1922).

Prof. H. Radlińska stwierdza:

„Wieś była i jest kolebką całego narodu, ciągle oddaje najwybitniejsze swe dzieci wszystkim środowiskom. Wiele z nich (zapewne większość) odwraca się od chaty rodzinnej. Nieliczni wzbogacają kulturę narodową — kulturę z chaty wyniesioną. Wielu w ciężkim trudzie zdobywszy mądrość książkową wchodzi między tłum biernych odtwórców. Rozwój kultury wsi wymaga aby pewna liczba najzdolniejszych pozostawała na wsi" (Referat, wygłoszony na XIII. konferencji oświatowej, poświęconej zagadnieniu kultury wiejskiej w Polsce — „Przemiany" R. 4. Nr. 3).

Zjawisko wysferzania się czyli zrywania z grupą społeczną, z której wychowankowie szkół średnich czy wyższych pochodzą, jest zjawiskiem naogół znanym i możnaby przypuszczać zupełnie naturalnym. Absolwenci bowiem tych szkół, z jakiejkolwiek oni warstwy pochodzą, wchodzą niejako w nową sferę społeczną, do klasy inteligencji pracującej, kóra ma już inne potrzeby i inne zainteresowania. Wykształcenie, często zmienione poglądy i wierzenia religijne, nowe maniery towarzyskie, inne formy życia w zupełnie odmiennym środowisku itp. oddalają nawet mimo woli tych wychowanków od ich grupy rodzinnej. Nie rozumieją też już oni często ideałów, zwyczajów i obyczajów swej grupy rodzinnej, nie mogą się dopasować psychicznie do środowiska, z którego wyszli. Im grupa rodzinna była pierwotniejsza a środowisko nowe bardziej nowoczesne, tym proces wysferzania się przybiera formy bardziej ostre. Klasyczne przykłady spotykamy u ludów kolorowych, gdzie wychowankowie szkół europejskich zupełnie zrywają z ludnością kolorową, pogardzają jej kulturą, która stała się im obca. Tym samym też ściślej łączą swój byt z ludnością białą, do której się przyzwyczaili.

Podobnym procesom do pewnego stopnia ulega inteligencja chłopska w Polsce. Najzdolniejszy element wiejski ginie dla wsi.

Trudno tu o dane statystyczne. Bezpośrednia obserwacja daje nam pod tym względem najlepszy, choć smutny materiał. Dla zilustrowania podamy tu kilka przykładów. Uczestnicy Uniwersytetu Ludowego w Szycach pod Krakowem piszą w ankiecie o inteligencji, pochodzącej z ich wsi rodzinnych (luty 1937 r.):

„Ci, których znam, są straceni zupełnie dla wsi. W wielu wypadkach wstydzą się wsi i nie kontaktują ze wsią. Chlubą dla wsi nie są, są tylko chlubą dla swej rodziny. Poza tym żadnej korzyści dla wsi nie przynoszą. Są pochłonięci przez miasto" (ank. 31 Łódź — Radomsko).

„Inteligencja w naszej okolicy uważa się za coś wyższego i wcale ze wsią, tą niższą sferą gadać nie chce... Pochodzą z chłopa, chłopu wszystko — powiedzieć można — zawdzięczają, a po zdobyciu więcej wiedzy, zamiast dzielić się ze wsią to stronią od niej" (ank. 6 Kielce, pow. Konecki).

„Wiele błędów widzę w inteligencji wsiowej. Po pierwsze: brak podejścia do gniazda rodzinnego. Po drugie: brak dobrego stosunku z ich strony do wsi. Muszę powiedzieć, że wstydzą się za wieś, a nieraz swoich najbliższych i rodziców. Dalej, po ukończeniu studiów wchodzą w wir materializmu, a nie dbają o dobro wsi... W wielu wypadkach tyle jest z nich, że tylko w statystyce powiększają liczbę oświaty w Polsce lecz wielu z nich jest martwych i biernych lub szkodzą wsi i kraju. Nieliczne tylko jednostki pracują dla dobra wsi, czy to dla dobra ogółu, co mi się podoba" (Ank. 31 Łódź — Radomsko).

„Gdy się ktoś wybije na jakiś wyższy urząd, to zapomina, że on też był chłopem, tylko ma się za coś wyższego i za lepszego. (ank. 19 Kielce — Zawiercie).

Obrazki te może przez młodzieńcze uczucie namalowane są zbyt jaskrawo; niemniej jednak przebija przez nie smutna barwa prawdy. Dodajmy do nich jeszcze inne. Oto np. rozmowa z jednym znajomym, młodym inteligentem ze wsi. Ukończył on tylko gimnazjum z powodu braku funduszów na dalsze studia i w tym czasie pracował na wsi. Na zwrócenie mu uwagi, że powinien jednak pracować dla wsi, machnął ręką ze słowami: „...Szkoda trudów i tak się nic nie zrobi" a później już przy omawianiu jego stosunku do chłopa, oświadczył: „Z największą satysfakcją ściągam podatki z chłopa" motywując to tym, że chłop nie chce tych podatków płacić i jeśliby nie użyło się sankcyj karnych, to wogóle by ich od niego nie ściągnięto. Bezsprzecznie od tego był urzędnikiem, by bronił dobra państwa, niemniej jednak odczuwanie aż przyjemności przy odbieraniu tego niejednokrotnie potem zlanego grosza od warstwy znajdującej się najczęściej w tragicznej sytuacji (okres kryzysu gospodarczego) i to od warstwy, z której dany urzędnik sam wyrósł, jest co najmniej dziwne.

Opisy te odnoszą się przeważnie do inteligencji z ukończonymi studiami. Dotyczą one również i młodzieży kształcącej się, choć już w mniejszym stopniu. Młodzież ta również wysferza się. Przytoczmy wypowiedzi samych akademików:

„Z naszej wsi jest 6-ciu akademików, ale ani jeden nie miesza się w sprawy wiejskie... Bawią się w panów" (St. St.).

„Nie jeżdżę do domu. Już nie byłem tam ze dwa lata, bo i poco tam pojadę" (J. L.)

„Mieszkam już blisko dwa trymestry z akademikami ze wsi i stwierdzić muszę, że nigdy prawie nie poruszają w rozmowie problemów, dotyczących wsi — jakby to środowisko było dla nich całkiem obce. Skierowana przeze mnie umyślnie na ten temat rozmowa nie wywoływała żadnego żywszego oddźwięku zgadzali się na to, że na wsi jest źle i dają na to przykłady, ale na tym koniec. Żeby ten stan rozbudził w nich jakąś chęć działania, chęć poświęcenia choćby chwili czasu dla poprawy obecnego stanu rzeczy na wsi, o tym się nie słyszy" (P. S.).

Wymieniony już akademik ze wsi (St. St.) zwierza się przede mną ze swoich planów:

„Chcemy założyć jakieś małe przedsiębiorstwo handlowe, bo tylko interes dzisiaj popłaca. Na urzędniczej posadzie to szkoda siedzieć. Poszlibyśmy (3 wspólników) na dostawy. Dostawialibyśmy np. grzyby. Na wsi płaci się za 1 kg. 1.— zł, a w Krakowie można dostać 6.— zł. Albo jeszcze lepszy interes można zrobić na owocach. Kupi się na wiosnę np. cały sad (owoce); chłop potrzebuje pieniędzy na przednówku, to sprzeda sad i za 20.— zł, a w jesieni można za owoce z tego sadu dostać 200.— i 400.— zł...". (7 lipca 1937).

Nie chce się wprost wierzyć, że mówi to inteligent — syn chłopa. Zamiast chłopa bronić przed takim wyzyskiem, przed żerowaniem spekulantów na jego biedzie i ciemnocie, on syn chłopa dalej chce kontynuować tę zbrodnię, nawet nie uświadamiając sobie tego.

Inny wypadek. Akademik ze wsi, mieszkający w domu akademickim wstydząc się swej matki — wieśniaczki, w czasie odwiedzin zamyka ją w swym pokoju, gdy jest zmuszony wyjść na miasto.

Akademik z miasta ze zgorszeniem mówi: „Nie mogę zrozumieć takiego faktu, że jeden kolega, pochodzący ze wsi — gdzieś z Podhala, obecnie już magister, wyrażał się o ludzie wiejskim, że to hołota i że trzeba ją krótko trzymać za mordę. Przecież przynajmniej jakiś sentyment do środowiska, z którego się wyrosło powinno się odczuwać" (A. M.).

Obrazki powyższe należą bezsprzecznie do skrajnych wypadków, nie wszystka inteligencja pochodząca ze wsi dochodzi do tak dalekich granic wysferzania się. Ogół inteligencji nawet tej co zerwała kontakty ze wsią, charakteryzuje mniejsza lub większa obojętność na sprawy wiejskie, brak żywszych zainteresowań w tym kierunku bez jakichś specjalnych otamowań, czy kompleksów psychicznych, objawiających się czy to nienawiścią do wsi, czy poczuciem wyższej wartości w stosunku do wsi itp.

Z kolei należałoby się zastanowić nad tym, jakie to czynniki wywołują zjawisko wysferzania się. Dotychczasowe rozważania dały nam pod tym względem pewien materiał. Należałoby go uzupełnić i zestawić.

Aby zrozumieć proces wysferzania się inteligencji chłopskiej, musi się wziąć pod uwagę bardzo skomplikowany splot tych czynników. Musi się uwzględnić z jednej strony położenie gospodarcze wsi, jej stan kulturalny i wyrobienie społeczno - polityczne; z drugiej strony asymilacyjne wpływy kultury miejskiej, życia w tej kulturze, następnie ustosunkowanie się miasta do chłopa itd.

Poprzez dotychczasowe rozważania przewijał się ciągle problem „pana" i „chłopa". W umysłowości człowieka wsi człowiek, przynależący do t. zw. „klasy panów" jest czymś lepszym i wyższym od „chłopa". Między tymi klasami istnieje głęboka przepaść napełniona niechęcią i różnymi fobiami ze strony klasy „panów", oraz niechęcią i kompleksem niższości u chłopów, a poczuciem obcości w stosunku do siebie u obu tych klas. Ten prymitywny, anachroniczny podział społeczeństwa na dwie warstwy sięgający jeszcze czasów feodalnych a zakorzeniony jeszcze bardzo silnie w umysłowości ludzi w Polsce dzisiejszej, jest bodaj najważniejszym i najsilniejszym czynnikiem wysferzania się inteligencji pochodzenia chłopskiego.

Chłop w swym — w jego pojęciu — poniżeniu społecznym widzi w „panu" ideał społeczny i dąży do niego; nie mogąc sam nim zostać, marzy, by jego dziecko zbliżyło się do niego. Najłatwiej ten ideał osiągnąć przez danie dziecku wykształcenia. Mówiliśmy już o tym przy omawianiu motywów wysyłania dzieci na studia przez chłopa. Idą więc synowie chłopscy do szkół. Zerwanie następnie przez inteligencję chłopską łączności z klasą chłopską uważa wieś za coś zupełnie naturalnego i nawet żąda tego; bo przecież na „panów" poszli się kształcić ci synowie chłopów... Taka jest tradycja. Takie powiedzenie zwrócone do mnie — jeszcze jako akademika — „Tyś ta juz pon i z panami bedziesz trzymoł" lub: „Ty ze mną teraz mówisz, ale za 10 lat to udasz, że mnie nie znasz... bo to niemożliwe, taki pan z miasta, uczony w wyższych szkołach, a ja zwykły robotnik...", takie itp. powiedzenia świadczą wybitnie o stosunku do inteligencji chłopskiej.

Chłop z jednej wsi w pow. miechowskim w przygodnej rozmowie stwierdza: „Rodzice na wsi to chcą, żeby ich syn był tylko panem. Jak przyjedzie do domu, to jeść dają mu w drugiej izbie coś lepszego..." (29.5.38).

Kobieta ze wsi, spotkawszy akademika, kolegę z lat szkolnych, mówi: „Takiś już pon, że nie pasujesz na wieś".

— Ależ gdzie, takim chłop jak i wszyscy na wsi, przecież ze wsi pochodzę.

— No to co, aleś sie uczył na pana.

— Ależ, skądże, na nauczyciela.

— No, ale nauczyciel i pon to jedno...

„Na moje — podaje ten sam akademik — do pewnego stopnia oskarżanie się, że mój sposób odnoszenia się do ludzi z mojej wsi jest zbyt twardy, szorstki poważna gospodyni ze wsi stwierdza, że mnie to przystoi — przystoi, bo jestem już... panem".

Na pytanie w ankiecie „Jaki jest stosunek wsi rodzinnej do studenta?" akademicy ze wsi odpowiadają:

„Zasadniczo obojętny, a nieraz nieprzychylny z powodu wykształcenia, które stawia mnie w szeregu ludzi z innych warstw". (ank. 42).

„uważają rodzice, że już nie ma (syn-akademik) nic wspólnego ze wsią a należy do „panów" (ank. 17),

„wieś uważa mnie za swego, jednak odnosi się do mnie jak do „pana" (ank. 7).

Stosownie do przyszłej roli „pana", rodzina i cała wieś ustosunkowuje się do studenta szkoły średniej a następnie wyższej szkoły w odpowiedni sposób, obdarzając go wyróżnieniem by później przelać na niego wszystkie przywileje, przynależne klasie „panów".

Z drugiej strony student od początku znajdując się w takiej atmosferze, nasiąka tą opinią, uważa siebie za wyróżnionego, wyższego, a nawet lepszego od reszty wsi.

Odzywa się tu też i druga strona — klasa „panów". Syn chłopski spotyka się w mieście uczelnianym często z lekceważeniem, wyśmiewaniem, a nawet pogardą warstwy chłopskiej, jako tej warstwy ciemnej brudnej, zabobonnej, źle sytuowanej — czy to ze strony kolegów z innych warstw, a niejednokrotnie i ze strony grona nauczycielskiego. Wywołuje to u ucznia uczucie upokorzenia, niższej wartości oraz budzi chęć upodobnienia się do warstw mieszczańskich tak pod względem zewnętrznym, jak strój, sposób zachowania się, mowa itp. jak również wewnętrznym, a więc intelektualnym, światopoglądowym, etycznym itp. Zachodzi jednym słowem zjawisko asymilacji. Prawo biologiczne i społeczne zarazem.

Zjawisko to zachodziło silniej dawniej, gdy młodzieży chłopskiej na studiach było mniej, przybierało formy ostrzejsze przed pierwszą wojną światową a złagodniało po niej, gdy prądy demokratyczne zaczęły być powszechniejsze, a młodzież chłopska stanowiła niejednokrotnie większość danej szkoły średniej.

Modne hasło ostatnich lat „frontem do wsi" jeszcze bardziej zmniejszyło wpływ tego czynnika i umożliwiło obudzenie się ruchu chłopskiego na wyższych uczelniach. Pod wpływem tego hasła chłop i jego syn na studiach zaczynają odnajdywać swoją wartość i określać swój stosunek do innych klas już na innych przesłankach.

Drugim z kolei ważkim czynnikiem wysferzania się inteligencji chłopskiej są same studia szkoły średniej, nie uwzględniającej zupełnie w swych programach zagadnień dotyczących wsi, oraz jej nastawienie literacko-artystyczne. Przez cały szereg lat stawia się przed oczyma ucznia różne dziedziny kultury o charakterze ogólnoludzkim, narodowym, czy mieszczańsko - szlacheckim (różne powieści, dotyczące życia warstwy szlacheckiej), a o wsi się naogół milczy. To samo można powiedzieć o sudiach uniwersyteckich. Specjalny zawodowy kierunek tych studiów nie pozwala najczęściej uwzględniać w nich zagadnień wsi. Duże pole do działania miałaby tu teologia ze względu na to, że olbrzymi procent księży idzie na wieś i dzięki temu duży odsetek młodzieży chłopskiej wraca do swego środowiska. Niestety dotychczasowe metody wychowawcze w seminariach duchownych nic w tym kierunku nie zdziałały.

Następny czynnik wysferzania. Ciągłe stykanie się na terenie szkoły i miasta ze środowiskiem mieszczańskim. którego kultura stanowi dla młodego umysłu dużą atrakcję, powoduje to, że syn wsi chłonie tę kulturę, jej formy zewnętrzne i jej treści wewnętrzne. Jego zainteresowania ogniskują się na ubiorze miejskim, na formach życia i zachowania się; jego życie wewnętrzne nasiąka pojęciami, sądami, poglądami i kategoriami myślenia miasta; jego życie uczuciowe, upodobania, kierunek pragnień upodabniają się do dążeń i pragnień miasta. Powstają nowe potrzeby i nowe zainteresowania, nowe nawyki, nowe poglądy i nowe ideały, które nie mają prawie nic wspólnego z poglądami, zainteresowaniami i ideałami wsi i które tym samym oddalają studenta chłopskiego od wsi. Syn wsi traci przez to niejako wspólny język ze wsią. Nabycie przez inteligencję chłopską pewnej ogłady, subtelniejszego sposobu zachowywania się wobec drugich powoduje to, że razi ją później zbyt szorstki często i niewybredny sposób odnoszenia się wzajemnego na wsi.

Nawiązanie łączności utrudnia ze swej strony wieś odnosząc się, do inteligencji wiejskiej jako do „panów" w sposób powściągliwy.

Z innym już całkiem światopoglądem niż wieś, z innymi zainteresowaniami i dążeniami pozostaje przeważnie młody inteligent ze wsi w mieście, gdzie łatwiej znaleźć zajęcie, stanowisko stosowne do jego wykształcenia i ten fakt stanowi czwarty z kolei czynnik zrywania łączności ze wsią. Ten proces wysferzania przyśpiesza jeszcze środowisko mieszczańskie, w którym właśnie inteligent ze wsi pozostaje, a które przesiąknięte jest różnymi przesądami, fobiami i niechęcią w stosunku do wsi. Młody inteligent, ulegając świadomej, czy nieświadomej asymilacji wyrzuca skrzętnie ze siebie resztki wiejskości. Ta bowiem wiejskość, a więc pochodzenie, pewne nawyki w sposobie bycia i życia, względnie brak przyswojenia sobie jeszcze dostatecznie miejskiego kodeksu towarzyskiego utrudnia bardzo często nawiązanie szerszych stosunków w środowisku miejskim.

Pozostawanie w mieście wiąże się ściśle z wyborem przez studentów ze wsi zawodów intelektualistycznych, urzędniczych. Jest to następstwem atmosfery „białych kołnierzyków" w szkole średniej, będącej zresztą odbiciem całej kultury europejskiej. Pogarda pracy fizycznej, sięgająca jeszcze gdzieś czasów Arystotelesa, ugruntowała się w umysłowości europejskiej na długie wieki, a w polskiej zaszczepiła się szczególnie silnie i tkwi jeszcze głęboko w duszy Polaka mieszczanina, czy szlachcica. Sugestie tych warstw dochodzą na wieś. Ta pogarda pracy fizycznej była powodem, że selekcja młodzieży do szkół zawodowych w Polsce zawsze była ujemna.

Poza tym momentem, poświęcenie się karierze urzędniczej jest spowodowane położeniem materialnym, nie pozwalającym inteligentowi chłopskiemu na otwarcie własnego przedsiębiorstwa. Złe warunki materialne zresztą już same wyznaczają kierunek studiów u młodzieży chłopskiej. Poza tym brak pewnej przedsiębiorczości i inicjatywy gospodarczej, która cechuje zresztą wieś dzisiejszą — i rzecz jasna jeszcze bardziej wieś wczorajszą — odgrywa tu niemniej ważną rolę. W dodatku chłop dotychczas nie brał udziału w zorganizowanym życiu gospodarczym, czy to w dziedzinie wymiany, czy wytwórczości. Spółdzielczość rolnicza, która mogłaby zatrudnić duży odsetek inteligencji chłopskiej i pchnęłaby napewno kształcącą się młodzież wiejską do studiów w tym kierunku i następnie do szukania zajęcia w spółdzielczości, ta spółdzielczość jest u nas dopiero w zalążkach. Rolnego przemysłu przetwórczego na wsi prawie że nie ma. Nie istnieje też prawie że wogóle ta forma zarobkowania, a możliwości zatrudnienia mogłyby być tu bardzo duże. Zatrudnienie inteligencji chłopskiej w tych dziedzinach życia gospodarczego napewno zapobiegłoby w znacznym stopniu procesowi wysferzania się inteligencji wiejskiej. Niestety w dzisiejszych warunkach siedzi ona przeważnie w mieście, w różnych urzędach i traci łączność ze wsią. Żyjąc w zupełnie innym środowisku mając inne zainteresowanie i troski, zapomina ona powoli o wsi, o jej troskach i potrzebach.

---

*) *Patrz Nr Nr: 15/16 (43/44), 18/19 (46/47) i 24 (52) „Wsi".*

STEFAN LICHAŃSKI

„Front nad Wisłą"

Nowa książka Piętaka*) różni się poważnie od obu jego powieści przedwojennych „Młodości Jasia Kunefała" i „Białowiejskich nocy". We „Froncie nad Wisłą" znalazły się obok opowiadań pokrewnych w sposobie ujęcia książkom poprzednim również utwory zdecydowanie odmienne. Piętak próbował tym razem swoich sił na terenie realistycznej prozy opisowej oraz noweli problemowej.

Dla większej przejrzystości obrazu zajmiemy się najpierw jednym rodzajem opowiadań składających się na „Front nad Wisłą", mianowicie „kunefałowym", by potem przejść do nowel i szkiców realistycznych. Podział taki jest oczywiście dość upraszczający i nie należy go uważać za rozróżnienie zasadnicze, a tylko za pewną wskazówkę orientacyjną. Opowiadanie „Adiunkt" np., którego właściwa akcja rozgrywa się w widzeniu sennym bohatera, jest z pozoru po samej fakturze sądząc, realistycznie traktowaną satyrą, ale w pewnym momencie poczyna się ono skłaniać ku poetyckiej, o symbolizm zatrącającej grotesce, by pod koniec znowu wrócić ku „normalnej" realistycznej prozie. Kiedy jednak zestawimy ze sobą opowiadanie takie, jak „Ostatnie noce" i tytułowy „Front nad Wisłą" — różnice w sposobie ujęcia stylistycznego, budowy akcji, metod charakterystyki itp. staną się bardzo wyraźne.

Z opowiadań typu „kunefałowego" na plan pierwszy wybijają się trzy: „Ostatnie noce", „Nagłe odwiedziny" i „Bitwa". Wszystkim trzem wspólne jest przesunięcie akcji w głąb psychiki bohaterów, pokazanie zdeformowanego skrótu zdarzeń na ekranie wewnętrznych przeżyć bohaterów. Tę metodę pisarską interpretuje się często zupełnie błędnie, twierdząc, że w tym wypadku zdarzenia tracą swoją ważność na rzecz przeżyć psychicznych. Jest to opinia zasługująca na miano naiwnego realizmu krytyckiego. Przebiegi procesów duchowych nie są tu ani splotem zdarzeń absolutnie niezależnych od zdarzeń zachodzących w świecie zewnętrznym, ani też nie są w stosunku do tamtych nadrzędne, czy to jako działania sprawcze czy też jako określające t. zn. zdolne do wpływania na ich przebieg w sposób czysto psychiczny.

Przeciwnie: zajścia psychiczne tego typu są zwykle określone zajściami mającymi miejsce w świecie zewnętrznym i od tych ostatnich są zależne w swoim przebiegu. Mamy tu po prostu zastąpienie sytuacji obserwatora znajdującego się na zewnątrz, sytuacją obserwatora śledzącego refleksy i cienie rzucane przez zdarzenia i rzeczy na ekran ludzkiej psychiki.

We wszystkich trzech wyżej wymienionych opowiadaniach tym, co najsilniej się narzuca, jest nastrój, ale jednak nie sama chęć wywołania nastroju jest osią, wzdłuż której grupują się elementy fabularne utworu, jak to miało często miejsce w twórczości modernistów. Nastrój w opowiadaniach Piętaka — to podchwycenie i narzucenie przez autora aury psychicznej, jaka osnuwa opisywane zdarzenia. Tym niemniej zdarzenia mają własną logikę, są wobec nastrojów stwarzanych przez autora i uczuć przeżywanych przez bohaterów nie tylko całkowicie autonomiczne ale i nadrzędne.

Osią kompozycyjną „Ostatnich nocy" jest przebieg zdarzeń nawiązany zabójstwem żandarma Kluftkego, a zakończony zemstą szpicla Deca na jego niedoszłym zabójcy Filipie.

W „Nagłych odwiedzinach" nie ma akcji w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale zastępuje ją szkic charakterologiczny postaci Ludwika. Nastrój w tym wypadku — to refleks opowieści Ludwika w psychice Sądejów, to tło owego opowiadania, z którego wyłania się niepokojąca maska ponurego fanatyka, dla którego żywiołem naturalnym jest walka i stan bezustannego ryzyka, bezustannego napięcia nerwów. Czujemy, że dla Ludwika walka z Niemcami jest tylko pretekstem wyzwalającym impulsy, które w normalnych pokojowych warunkach musiałyby albo zostać stłumione albo wyładowywałyby się w czynach kolidujących z kodeksem karnym. Ten świetny portret psychologiczny rasowego kondotiera i awanturnika zabłąkanego w nasze czasy mógłby być umieszczony w jakichkolwiek innych ramach i nic by na tym nie stracił. Nastrój niepokoju i zamieszania promieniujący od Sądejów, nastrój zmąconej sielanki podkreśla i uwypukla niektóre rysy psychiczne Ludwika, ale stanowczo nie jest on w opowiadaniu kwestią najistotniejszą.

W „Bitwie" sprawą najważniejszą jest sytuacja Kurdy i jego rodziny, zaskoczonych nagłym zbliżeniem się frontu do wsi. Nastrój jest przez cały czas wytrzymany, nastrój wahający się stale między tragizmem a groteską, ale nastrój ten to tylko skutek uboczny mocnego i trafnego podchwycenia przez autora r z e c z y w i s t e j sytuacji chłopa, którego normalny tok bytowania obraca w niwecz przetaczająca się tuż obok jego zagrody burza wojenna.

Piętak nie jest ani młodopolskim nastrojowcem ani lirycznym fantastą, widzi on dobrze świat realny, ale widzi go o c z y m a p o e t y. I to jest najważniejsze uwarunkowanie jego metody twórczej. Dla Piętaka istnieje przede wszystkim m o m e n t, moment kondensujący w sobie niejako cały sens długo może nawet w czasie rozwijającego się zdarzenia, moment kiedy dramatyczny splot sytuacji i napięcie emocji psychicznej u bohaterów zdarzenia i sytuacją do maksymalnego natężenia spotęgowany nastrój splatają się w jakąś całość niemal organiczną, w kompleks elementów rzeczywistości fizycznej i psychicznej splątanych w jednolity węzeł kluczowej sytuacji, wyjaśniającej lub rozcinającej ostatecznie jakiś cały skomplikowany cykl wypadków. Jest to widzenie typowe poetyckie, typowo liryczne — i także typowe dla Piętaka.

To też najlepiej z opowiadań realistycznych wypadają u niego te, w których albo jedna scena wyraziście dominuje nad całością, skupia w sobie niejako cały jej ładunek emocjonalny i ideologiczny (jak np. „Egzekucja", „Lipiec 1944"), lub też, gdzie w ogóle opowiadanie stanowi pojedynczą scenę, zwarty, jednolity „obrazek" (jak np. „Okupacja"). Ku takiemu też typowi „lirycznego" czy raczej poetyckiego opowiadania zbliżają się humoreski jak „Zasadzka" czy „Koniokrad", a także ku makabrycznej grotesce oscylujące opowiadanie „Ostrzyżona", opowiadanie z dość zresztą przykrym wydźwiękiem seksualnej perwersji.

Gorzej wypadają opowiadania takie, jak np. „Adiunkt", „Rozstanie", „Niedola", których problematyka wymagałaby bogatszego rozbudowania analizy czy to psychologicznej („Niedola"), czy też i psychologicznej i socjologicznej („Adiunkt", „Rozstanie"). Piętak usiłuje i w tym wypadku zastąpić analizę skrótami sytuacyjnymi o silnej dynamice emocjonalnej i ideologicznej, ale tutaj ta metoda zawodzi i w rezultacie otrzymujemy albo dość powierzchownie załatwiającą problem alegorię (sen Kibickiego w „Adiunkcie"), albo dziennikarską satyrę („Rozstanie"), albo szereg drastycznych obrazków, których istotny sens nie zostaje dość mocno podkreślony („Niedola"). W sumie rzeczy te robią wrażenie szkiców brulionowych, prób, w których autor usiłował wyjść poza dotychczasowy rodzaj swojej pracy literackiej, ale nie wyciągnął wszystkich konsekwencji z zajęcia postawy bardzo odmiennej od tej, jaka była mu właściwa dotąd. Do tej grupy należy też zupełnie nieudana i niepotrzebna wstawka publicystyczna „Kartka historii".

Osobną i zupełnie odrębną pozycję stanowi szkic powieściowy „Front nad Wisłą", ukazujący nowe możliwości talentu prozatorskiego Piętaka. Jako bohatera tego utworu wprowadza autor kilkunastoletniego chłopca Michasia i rezygnując z własnej „dorosłości", ze swojej wiedzy o technice pisarskiej i z opanowanych metod literackiej ekspresji — próbuje spojrzeć na świat oczyma dziecka przeżywającego tak niezwykły moment dziejowy jak wyzwolenie ojczyzny spod hitlerowskiej okupacji.

Dla dziecka słowo „wróg" oznacza po prostu wroga, zbrodniarz jest dla niego zbrodniarzem, bohater bohaterem. Nie ma w młodej, świeżej psychice miejsca na tysiączne wątpliwości, na wahania i zastrzeżenia, jakie wzbudzają w człowieku dorosłym takie terminy jak „wróg", „bohater", „zbrodniarz". Dziecku, nawet młodzieńcowi, obce jest poczucie komplikacji, nakazujące w każdym zagadnieniu, w każdym fakcie szukać i drugiej strony medalu, badać i analizować.

Rzecz jasna, że i obraz świata układa się w psychice niedojrzałej prościej, schematycznej, choć ludziom nazbyt krytycznym, a równocześnie słabo zorientowanym w psychologii może się wydawać, że stoją w tym wypadku wobec zupełnego chaosu. Tymczasem pozór chaosu i dowolności wynika tu z braku wiedzy, który utrudnia sytuację niedojrzałego umysłu, spragnionego pewności, usiłującego zrozumieć całą rzeczywistość w sposób ostateczny i wykluczający jakiekolwiek wątpliwości. Stąd schematyzacje, czasem prymitywne i niedołężne, ale typowe dla tej fazy rozwoju umysłowego.

Piętak stara się bez stylizacji i upiększeń odtworzyć naiwnie realistyczny obraz świata i wypadków tak, jak utrwala się on w umysłowości wrażliwego chłopca. „Front nad Wisłą" po ponownym opracowaniu mógłby wyjść osobno jako książka dla młodzieży.

Zdaje się, że w tej dziedzinie pracy literackiej Piętak miałby dużo do powiedzenia. Pomijając już nawet „Front nad Wisłą", chciał bym tu wskazać na utwory takie jak „Okupacja" czy „Egzekucja", które w zupełności zasługują na to, żeby znaleźć się w wypisach szkolnych.

„Front nad Wisłą" traktowany jako całość jest książką świadczącą o stałym rozroście talentu prozatorskiego Piętaka i o silnej ambicji poszukiwania nowych dróg twórczości i nowych form wyrazu. Jest to książka świeża i młoda, wzbudzają przy jej czytaniu sympatię nawet błędy i potknięcia autora, gdyż świadczą one, że Piętak nie chce się zadowolić doskonałością w zakresie jednego rodzaju prozy, ale eksperymentuje na bardzo szerokim terenie. Możliwości rozwojowe każdego talentu są ograniczone i każda osobowość twórcza napotyka w swoim rozroście na przeszkody, których nie jest w stanie przezwyciężyć. Same jednak próby dotarcia do nowych dziedzin twórczości, choćby nawet nie kończyły się pełnym sukcesem, są wyrazem prężności i żywotności talentu, są dowodem, że pisarz, który na takie próby się odważa, daleki jest od skostnienia w doskonałej poprawności popełnianych na sobie samym plagiatów.

*) Stanisław Piętak: Front nad Wisłą, cykl opowieści. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik" 1946; str. 181 plus 3.

WŁODZIMIERZ ANCHIMOWICZ

Dyskusja: „wieś — miasto — regionalizm"

Wieś i miasto

W dalszym ciągu dyskusji naszej zabiera głos p. Anchimowicz z woj. białostockiego. Artykuł jego nie jest napisany w sposób zadowalający wymagania wybrednego czytelnika, jest to raczej szkic, zestawienie dość luźne kilku uwag i pomysłów, jakie nasunęły się autorowi przy lekturze dotychczasowych wypowiedzi dyskusyjnych. Uwagi te i pomysły są na tyle ciekawe, że zasługują, by je drukować bez względu na formę, w jaką zostały ujęte.

Ważne jest przede wszystkim, że Anchimowicz zajmuje stanowisko wręcz przeciwstawne temu, jakie reprezentowali np. Jóźwiak czy Stodolny. Jest on entuzjastycznym wielbicielem miasta i planuje zupełną likwidację wsi. Pomysł Anchimowicza ma niewątpliwe cechy utopii, ale nie należy go traktować nazbyt dosłownie: zdaje się bowiem, że autorowi chodziło po prostu o wyrażenie poglądu, iż zupełna likwidacja wsi jest bardziej prawdopodobna i możliwa do zrealizowania niż zupełna likwidacja miast.

Trafnie podnosi Anchimowicz, że emigracja ludności wiejskiej do miast wynika nie tylko z konieczności materialnych, ale, że dyktuje ją również chęć znalezienia pracy mniej absorbującej i wyczerpującej fizycznie niż praca rolnika oraz chęć awansu kulturalnego. Spostrzeżenie to jest nader trafne i powinno skłonić do poważnego zastanowienia się apologetów „sielskości", „rodzimości" i chłopskiego konserwatyzmu. Anchimowicz co prawda nie widzi niebezpieczeństw związanych z tym procesem. Warto tu przypomnieć, że w Niemczech taka masowa ucieczka do miast zagroziła niemal że wyludnieniem wsi. W każdym bądź razie zjawisko to wskazuje na fakt, że dawne formy życia i gospodarki budzą już sprzeciw w masach chłopskich, odczuwane są jako przestarzałe.

Anchimowicz zajmuje stanowisko może zbyt skrajne i trudne do obronienia w całości, ale tym nie mniej wzbogaca on dyskusję wprowadzeniem do niej elementów zupełnie nowych i to chyba usprawiedliwia w zupełności wydrukowanie jego pracy. (sl).

Ob. Mieczysław Jóźwiak w artykule swym p. t. „Miasto", osiedla miejskie nazywa cmentarzem narodu, przytaczając dane statystyczne. Niewątpliwie, jeśli stan miast naszych pozostanie na dotychczasowym poziomie, nazwa ta potwierdzi się, lecz należy spodziewać się, że w obecnym okresie stan ten ulegnie zmianie, a warunki zdrowotne w mieście zostaną polepszone.

Ludność miejska podzielona jest na kilka grup: robotnicy, rzemieślnicy, inteligencja i kupiectwo, a każdy z przedstawicieli tych grup stanowi typ odmienny od przedstawicieli innej grupy. Grupą najbardziej produkcyjną jest grupa robotnicza, stanowiąc podstawowe źródło utrzymania i rozwoju przemysłu, natomiast grupą osiągającą największe korzyści materialne jest kupiectwo. Najbardziej spokrewniony z chłopem jest robotnik, egzystencja którego tak samo jak i chłopa podtrzymywana jest pracą własnych rąk. Wśród robotników jest także największa ilość osób pochodzących ze wsi.

Niewątpliwie, że klucz rozwoju przemysłu znajduje się tylko w mieście, bo jeśli nawet stworzymy najmniejsze wsie i całe życie gospodarcze skupimy w tych osiedlach, to w przyszłości wsie te rozrosną się do rozmiaru miast, tworząc własny przemysł i przekształcając się w miasta. Rozwój ten zdolna jest zahamować tylko wojna, niwecząc osiedla i dorobek pracy ludzkiej. Lecz miejmy nadzieję, że świat wkroczy na tory pokoju i wszelkie konflikty rozstrzygane będą na podstawie rozumu, a nie siły. Jest to jeden z warunków ulepszenia zdrowotności i rozwoju kulturalnego wsi i miast.

Ludność miejska, zamieszkując w miastach, do osiedli swych przywiązuje się i nie wielu jest wśród mieszkańców miasta, którzy zgodzą osiedlić się na wsi, nawet jeśli zostanie im zapewniona poprawa bytu materialnego. Natomiast 50 proc. ludności wiejskiej, szczególnie w wieku średnim i młodszym (przypuszczenia swe opieram na obserwacji chłopców na Kresach Wschodnich) chętnie zamieniłoby złociste łany pól wiejskich na bruk miejski. Jako przykład może tu służyć fakt, że duża ilość pracownic domowych, sięgająca 70 proc. ogólnej liczby pochodziła ze wsi. Przyczyn osiedlania się ludności wiejskiej w mieście należy szukać w ciężkiej pracy rolnika i niskim poziomie kulturalnym wsi.

Rzeczywiście, że pomysł skoncentrowania życia gospodarczego i kulturalnego na wsi jest tylko utopią i zrealizowanym nigdy nie będzie, natomiast projekt całkowitej likwidacji wsi jest bardziej realny. Przyśpieszyłoby to rozbudowę naszych miast i rozbudowę ośrodków kultury i sztuki. Uprawa rolnictwa byłaby nadal prowadzona przez ludność zamieszkałą w miastach. Bo przecież zamieszkiwanie na wsi spokojnej i cichej jest dobre tylko na krótki okres przejściowy dla osób znudzonych gwarem wielkomiejskim.

Niepożądanym objawem życia wiejskiego jest indywidualizm, mam tu na myśli liczne kolonie i domki wiejskie rozrzucone na pustkowiach i lasach, mieszkańcy których nieraz pozostają w kręgu swych najbliższych przez dni i tygodnie. Wytwarza to jednostki o cechach wybitnie egoistycznych nie okazujących zainteresowania dla życia zbiorowego i współżycia z szerokimi warstwami społeczeństwa. — A przecież jest jasne, że jednostka bez społeczeństwa nie posiada wielkiego znaczenia.

Teren Kresów Wschodnich jest wybitnie regionalny, posiadający odmienne oblicze od innych dzielnic Polski. Cechuje go biedota chłopa, piasczystość ziemi, niski poziom oświatowy, prymitywne budowle i nieskomplikowana uprawa ziemi. Jeśli chodzi o gwarę wiejską, to na wsiach znajdujących się bliżej wschodu, gwara ta zbliża się do języka białoruskiego, natomiast w okolicach odległych dalej od wschodu ma brzmienie mazurskie. To samo odnosi się do strojów ludowych.

Niski poziom oświatowy na wsi przyczynił się do utrwalenia przesądów, które nieraz są tak mocne jak wiara w Boga. Niejedna wieśniaczka prędzej uwierzy w przepowiednie wróżki, niż w naukowe twierdzenia profesora.

Tak się u nas utarło, że osoby posiadające cenzus naukowy, bez różnicy skąd pochodzą, ze wsi czy z miasta, poświęcają się tylko pracy umysłowej, a przecież pożądane jest w celu zwiększenia wydajności rolnictwa i racjonalnej uprawy ziemi oraz ulepszenia i zwiększenia produkcji przemysłowej, aby każdy chłop posiadał wykształcenie w zakresie szkoły rolniczej i każdy robotnik był technikiem.

Proces Greisera

Wojna ostatnia i czasy powojenne postawiły nas wobec zdarzeń bez precedensu w dziejach ludzkości. Niesłychana krwiożerczość, bezprzykładny gwałt, zdeptanie najelementarniejszych praw ludzkich, masowe mordy idące w miliony, męczarnie setek tysięcy ludzi trwające lata całe, odmawianie prawa bytu już nie tylko politycznego, ale nawet biologicznego, zwierzęcego całym narodom — oto ponure pokłosie niemieckiej woli panowania nad światem, prowadzenia wojny i stosowania w praktyce „nowego ładu".

I rzecz wielce znamienna — ów tragiczny program walki nie był płodem umysłu jakiejś opętanej szałem jednostki czy nawet zbrodniczej grupy ludzi. Był tworem całego wielomilionowego narodu niemieckiego — jak to ustaliło wielu mężów stanu, jak to przede wszystkim odczuliśmy na własnej skórze — my sami.

Nic więc dziwnego, że po tej koszmarnej rzezi, zdławionej orężem państw wolnych i wolność miłujących, Niemcy według mechanicznego związku winy i kary stanęły wobec konieczności sądu i odpowiedzialności. Ponieważ jednak trudno byłoby postawić przed kratkami osiemdziesiąt milionów złoczyńców — świat karze państwo niemieckie w osobie ich przestępczych przewodników duchowych, w ich zbrodniczych wodzach. Niemożność ukarania wykonawców zmusiła zwycięski świat wonych ludzi do ukarania rozkazodawców

Proces w Norymberdze jako pierwszy i szereg procesów następnych po innych państwach jest tego stanu rzeczy najjaskrawszą ilustracją. I cokolwiek by można na marginesie tych rozpraw powiedzieć, jakie postawić jej zarzuty — jedno jest niezaprzeczalne i zostanie w historii niezatarte: pociągane są do surowej odpowiedzialności sfery kierownicze państwa, sfery reprezentacyjne — jako sfery przestępcze.

W wojnach dotychczasowych, jak w wojnach każdych, gdzie bestia ludzka, zwolniona z uwięzi moralnych, staje w kolizji z podstawowymi prawami humanitaryzmu nie brakowało okrucieństw — popełnionych na rozkaz przełożonych i popełnionych z własnego wykolejonego popędu. Ale kara, jeśli kogoś dosięgła, to tylko ową rękę czyniącą. Majestat, źródło zbrodni, zostawał niedosiężny, daleki, wolny od kary w imię jakichś niby wyższych racji nadludzkich, dających prawo deptać zasady uczuć ludzkich.

Pod tym względem fakty sądzenia dygnitarzy niemieckiego państwa są wyłomem w stosowaniu prawa międzynarodowego i międzynarodowych sankcji. Przedwojenna atmosfera pacyfizmu, niesiona chociażby tyko przez systemy wychowawcze, chociażby przez oficjalne deklamacje Ligi Narodów, tyle jednak dała, że świat, zawsze po ukończeniu walki skłócony o podział łupów, tu na tym punkcie pozostał dość zgodny — na punkcie pociągnięcia zbrodniarzy wojennych do odpowiedzialności.

Naród polski ma w stosunku do wczorajszych dygnitarzy brunatnego reżimu — swoiste uprawnienia. Na naszych ziemiach Niemcy najpierw stosować zaczęli metody zgładzania, które później przenieśli w inne państwa i w inne kraje. Jedna jest tylko rzecz, gdzie indziej nie spotykana, która tu u nas miała miejsce w programie niemieckich zbrodni, jako pewien objaw teutońskiej polityki na ziemiach wschodu celem zdobycia „przestrzeni życiowej". Jest nią mianowicie wysiedlanie ludności całych połaci kraju z dorobku pokoleń i własnych sadyb, jako przygotowanie do zniemczenia ziemi.

Przez nasze terytorium państwowe przewinęło się kilku szczególnie krwiożerczych władców hitlerowskiego imperium. Taki Herman Frank „generalny gubernator", taki Fischer — gubernator Warszawy, taki Greiser — wielkorządca nowoprzyłączonych do Rzeszy niemieckiej terenów Warthegau. Byli jeszcze i inni, ale tych dosięgła mściwa kula żołnierzy armii podziemnej i otrzymali nagrodę, na jaką zasłużyli swoją krwiożerczą działalnością. Ci jednak pozostali żywi i wyszli z naszej ziemi żywi — byli ostrożni, ubezpieczeni, czujni, szanujący się — i nieosiągalni.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przyjdzie czas sądu i na tych innych, jak oto dziś przyszedł termin na męża zaufania Hitlera, przeznaczonego do akcji na wschodzie, pana obszarów nad Wartą — Arthura Greisera.

Władze alianckie wydały go w ręce sądów polskich i proces tego przestępcy wojennego odbywa się w Poznaniu, w stolicy ziem, którym zapowiadał absolutną germanizację w ciągu najkrótszego czasu.

Kto zacz jest ów Arthur Greiser?

Tytuły oficjalne miał różne, stanowiska rządowe i partyjne bardzo wysokie.

Ale tu nie o to chodzi.

Był to Niemiec — polakożerca, urodzony w Środzie na naszej polskiej ziemi i — jak to zazwyczaj bywa — jej wróg zapamiętały; był to bojowiec teutoński chowany i kształcony na klasycznych wzorach krzyżackich komturów, którzy na fundamencie mogił podbitych ludów wschodnich budowali rozszerzone granice wielkiego państwa niemieckiego; był to działacz partyjny panującego systemu narodowego socjalizmu, obdarzony zaufaniem i pełnomocnictwami najwyższego przewodnika, zlecającego pewnym ludziom pewne sprawy w tym przekonaniu, że będą przez nich załatwione należycie. Ogólne, najogólniejsze wytyczne wodza będą rozpracowywane w szczegółach praktycznych właśnie przez niego, Greisera.

Lista jego „zasług" po tamtej stronie — lista jego przestępstw i zbrodni po tej, obejmująca jedne i te same czyny, jest długa, obfita i ważna. Prasa nasza w szeregu artykułów podaje coraz to nowe jego „laury", kreśli coraz szczegółowiej jego sylwetkę duchową na płaszczyźnie domu, urzędowania, partii.

Mniej nas obchodzi bezpośrednio jego kariera poprzednia aż dotąd, dopóki nie zahaczył swoją działalnością o sprawy i tereny obchodzące nas jak najżywiej. — Dwa są takie miejsca, gdzie dał się we znaki, gdzie pokazał drapieżne i bezwzględne pazury krzyżaka: przed wojną — Gdańsk i podczas wojny — okręg Warty.

Jako zaufany leadera narodowo-socjalistycznej partii, wodza narodu, kanclerza państwa, prezydenta Rzeszy — słowem führera, słowem Adolfa Hitlera, Greiser obejmuje przed wypadkami 1939 roku kierownictwo hitlerowskiej komórki w wolnym mieście wówczas, kiedy teren ów zagitowany odpowiednio przez pomniejszych działaczy dojrzał już do wielkich rozstrzygnięć. Krwawe ekscesy, tępienie Polaków i polskości, demolowanie naszego dorobku materialnego, mordy, bicia, samosądy rozwydrzonych brunatnych bojówek — jest to lista prac dokonywanych na jego bezpośredni rozkaz. On to w dniu wybuchu wojny proklamował uroczyście w sposób komediancko pompatyczny przyłączenie do Rzeszy niemieckiej obszaru Wolnego Miasta Gdańska „po wieczne czasy".

Działalność Greisera w Gdańsku jest działalnością zwykłego ćwiczonego zbrodniarza pogranicza; w których dzieje Niemiec tak obfitowały od czasów Gerona, Wichmanna czy Albrechta Niedźwiedzia.. Ale sprawy, jakie się działy w obszarze Warty, przekraczają swoimi rozmiarami i natężeniem wszystko, co rozum ludzki pojąć może, świadomość uwierzyć, a ciało przeżyć. Potworna akcja wyniszczenia Żydów, okropności wysiedlania z odwiecznych siedzib setek tysięcy rodzin chłopskich, mogących zabrać tylko niewielki węzełek z sobą i skazanych na poniewierkę, tracenie dzieci, obozy, więzienia, kary śmierci, obowiązek schodzenia z drogi Nemcom, obowiązek oddawania ukłonu przechodzącemu Niemcowi, zakazy bywania w lokalach wspólnie z Niemcami i jazdy w tramwajach i ta zapowiedź, że „w ciągu pięciu lat nie śmie być na terenie okręgu Warty ani jednego Polaka". Oto nieliczna tylko najogóniej zarysowana lista jego przestępstw. Oto są sprawy, pod którym podpisywał swoje nazwisko. Oto są zdarzenia, które inicjował i czyny, ku którym zachęcał i pchał całą zniemczoną zgraję miejscowych volksdeutschów.

Po Poznaniu bodajże druga Łódź ma z Greiserem równie wiele porachunków. Tu w tym mieście i po okolicznych osiedlach — Pabianicach, Zgierzu, Tomaszowie, Ozorkowie — jeździł i z tą wielką pychą niemieckiego kabotyna ogłaszał swoje punkty programu. Ludzie mu pamiętają, ludzie słyszeli, kiedy mówił sam, nauczając słuchające go rzesze brunatne: „Jeśli się zdarzy, że przechodzący Polak przed wami nie zdejmie czapki, to bić go tak w mordę, aby wiedział, że należy to uczynić".

Proces wycignie na jaw wszystkie jego przestępstwa. I aczkolwiek zbrodnie Greisera przekraczają wielekroć zdolność jego odpowiedzialności jako jednostki, wierzymy, że jedynym wyrokiem, który może zapaść i jedyną karą, jaka go może spotkać, jest ta sama, którą on szafował tysiącami wobec innych: słabszych, napiętnowanych, zgniecionych.

I wierzymy, że kara fizyczna, jaka spotka Greisera, będzie symboilczną karą dla tych wszystkich Niemców, którzy pomagali mu i wykonywali obłąkańcze zarządzenia niemieckiego zbrodniarza.

m. d.

Z nad Odry

Wrocław, stolica Dolnego Śląska zajmuje prawie 18.000 ha powierzchni. Miasto rozciąga się z zachodu na wschód na przestrzeni 24 km., a z południa na północ 14 km. Jest więc miastem wielkim. Przed wojną ilość mieszkańców dochodziła do 630.000.

Wypadki wojenne, przywracając Wrocław Polsce, zmniejszyły kolosalnie jego zasobność budynkową, bo aż w 65%. Pozostały z miasta gruzy i mury, co uszczupliło liczbę ludności do 170.000. W tym okrągło 100.000 to ludność polska.

Miasto więc w ciągu jednego roku osiągnęło w swym składzie 1/10 miliona ludności polskiej. W następującym tempie wzrastała ludność od stycznia 1946 r.: l. I — 33.977, l. II — 49.622, l. III — 61.162, l. IV — 73.876.

Jak widać przybywało jej więc co miesiąc o wiele ponad 10.000. Jest to przybytek znaczny. Utrzymanie go przez cały rok na tym samym poziomie gwarantuje 120.000 osiedlonych mieszkańców. Że nie dobito do tej cyfry w ciągu minionego roku, to wina pierwszych ciężkich miesięcy.

10 maja 1945 r. w dwa dni po poddaniu się twierdzy (Festung Breslau) przyjechała na teren Wrocławia pierwsza czołówka cywilna polska. Była to czołówka zarządu miejskiego i grupy kulturalno - naukowej, mająca przygotować kwatery dla organizatorów nowej polskości na terenie miasta. Wrocław płonął jeszcze wtedy, na ulicach leżały barykady i miny.

Kiedy 9 maja 1946 roku upłynął rok od tej chwili i na całym świecie święcono wielką uroczystość Zwycięstwa — ulicami Wrocławia przeciągały już tysiące Polaków: żołnierzy, robotników, harcerzy, studentów, urzędników kierując się na plac Teatralny, gdzie przedstawiciel Polskiego Wojska i polskiego Rządu przyjmowali defiladę wskrzeszonego Wrocławia.

Gdy 10 czerwca odbywało się uroczyste otwarcie Dni Kultury na ziemiach Zachodnich, z hali ludowej, gdzie niegdyś padały słowa hitlerowskiego proroka zła i nienawiści — rozległ się głos przedstawiciela polskiej nauki, akcenutjący dobitnie i wyraźnie nasze prawa do odzyskanego Zachodu.

Dwie te uroczystości świadczą o coraz pełniejszym obejmowaniu przez nas Dolnego Śląska. Przyszliśmy tu z wojskiem, przyszliśmy z władzami cywilnymi — przyszliśmy z polską nauką. Uniwersytet i politechnika wrocławska rozpoczęła rok akademicki zaledwie w parę miesięcy po uwolnieniu miasta. Dokonało się to ciężkim i ofiarnym wysiłkiem profesorów i straży akademickiej. Fakt ten, to zdarzenie o niebylejakiej doniosłości, świadczące o naszej twardej woli pracy i chęci jak najszybszego wskrzeszenia polskiego życia w odzyskanej zachodniej dzielnicy.

Życie polskie buduje się tu na mocnych fundamentach — na przemyśle, handlu i nauce. Utrwalamy się na miejscowym gruncie w trojaki sposób: ludnościowo, gospodarczo i kulturalnie. Są to oparcia trwałe, które zawieść nie powinny.

Na terenie województwa dolno - śląskiego osiedliło się już przeszło milion Polaków, z czego więcej niż połowa na wsiach. Z pośród miast dolno - śląskich, Wrocław jest największy. Mało — gdyby nie zniszczenie wojenne, zajmowałby jedno z najpierwszych miejsc wśród miast polskich. Swoia wielkością i liczbą ludności szedłby po Warszawie.

Dziś okaleczony wojną, jest jednym ze średnich miast polskich. Góruje nad nimi tylko i przoduje ważnością swej misji dziejowej. Przypadła mu zaszczytna rola zachodniego bastionu i krzewiciela polskości.

Rozwój i dobrobyt miasta zależy w dużej mierze od rozwiniętego przemysłu. Szeroko rozbudowany przemysł Wrocław w okresie przedwojennym posiadał. Dziś niestety 60% zakładów przemysłowych leży zupełnie w gruzach. 30% jest zniszczonych w połowie. Zniszczenia w 75% dokonali Niemcy sami. Na szczęście przemysł kluczowy w znacznej mierze ocalał. Pozwoliło to uruchowiększa w tej części Europy fabryka chlektóra wypuściła już swoje pierwsze wozy.

Na terenie miasta znajduje się też największa w tej części Europy fabryka chleba, bułek, makaronu, sucharów i ciast o produkcji przedwojennej samego tylko chleba 150000 kg. dziennie.

Najliczniej reprezentowany jest przemysł metalowy obejmujący 14 zakładów przemysłowych, wśród nich wspomnianą fabrykę wagonów, dalej przemysł konfekcyjny — 11 zakładów, resztę przemysł ceramiczny, budowlany, chemiczy, papierniczy, włókienniczy, drzewny — 16 zakładów.

Liczba zakładów przemysłowych prywatnych wynosiła w marcu 1946 — 953, liczba zakładów handlowych prywatnych — 2238. Są to cyfry pokaźne, świadczące o ruchliwym, handlowym i przemysłowym życiu miasta.

Na terenie Wrocławia jest czynnych dziś 5 linii tramwajowych i cztery autobusowe, z których pierwsze rozpoczęły już swoją pracę w sierpniu ub. roku. W marcu 46 r. sprzedano przeszło 1,5 miliona biletów wobec 75 tysięcy z sierpnia 45 r. Wszystko to potwierdza rosnącą z dnia na dzień prężność odrzańskiego grodu.

Retrospektywny rzut oka na minione miesiące polskich rządów we Wrocławiu — rzut zresztą na wskroś obiektywny — pozwala nam optymistycznie patrzeć w przyszłość. Praca dokonana pozwala wnioskować pozytywnie o naszych możliwościach na jutro. Rok 46 to dalsza kontynuacja wysiłków i dokonań oraz rozszerzania perspektyw rozwoju polskości na Dolnym Śląsku.

Na zakończenie chciałbym podkreślić konieczność wrośnięcia dzielnicy śląskiej po Nysę z Wrocławiem i Legnicą, jako integralnej części Polski, w nawyki myślowe Polaka z centrum. Niech Dolny Śląsk przestanie mu się wreszcie wydawać koniunkturalnym nabytkiem politycznym lub ziemią zesłania.

Śląsk to ani Sybir, ani też Klondyke. To ziemia wymagająca takiej pracy, jak każda w Polsce, a w zamian hojnie płacąca.

Leszczyński Władysław

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga - Michalski Józef, Olcha Antoni, Piętak Stanisław. **Komitet terenowy:** Frasik Józef Andrzej, Nędza - Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik".

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—09674

Przypominamy o konkursie

na ludowy utwór sceniczny

Szersze omówienie konkursu podano w n-rze 18–19 (46—47) „Wsi"

NAGRODY: I — 20.000 zł.

II — 15.000 zł, III — 10.000 zł

Na konkurs można nadsyłać tylko utwory dotychczas niedrukowane, natomiast rzeczy które były wystawione, ale nie drukowane, mogą uczestniczyć w konkursie. Do tekstu należy dołączyć zaklejoną kopertę z nazwiskiem i adresem autora, przy czym na kopercie należy umieścić godło. Takie samo godło należy wypisać na egzemplarzu sztuki.

Po zamknięciu konkursu, redakcja tyg. „Wieś" w porozumieniu z kierownikiem Wydz. Kultury Zw. Samopomocy Chłopskiej, poda skład Sądu Konkursowego. Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie pierwszeństwo nabycia i drukowania nagrodzonych i nadesłanych utworów.

TERMIN NADSYŁANIA UTWORÓW NA KONKURS UPŁYWA W DN. 1 LISTOPADA 1946 R.